



FRANK WEDEKIND.

SZLAKAMI
≡ EROSA ≡

Z ORYGINALU PRZEŁOŻYŁ
A. ST.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

NAKLADEM I DRUKIEM
E. WEIDENFELDA I BRATA W STANISŁAWOWIE,
1909.



FRANK WEDEKIND.

SZLAKAMI EROSA

Z ORYGINAŁU PRZEŁOŻYŁ

A. ST.



1909.

NAKLADEM I DRUKIEM E. WEIDENFELDA I BRATA
W STANISŁAWOWIE.

5.
M. Sarg. luty 1915

Marij. Paschikiewicza

Komputer.



78823

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0101504

Miłość na pierwsze wejrzenie.

K-52/77/78823



„Ależ pan wcale mnie nie zna. Pańskie żądanie ma w sobie coś obrażającego. Widzi mnie pan pewnego wieczora w towarzystwie, dowiaduje się, kim jestem, a na drugi dzień przychodzi pan i prosi o moją rękę. Mój ojciec uchodzi za milionera. Chciałabym zaprawdę, by tak nie było; miałabym wtedy powód do zarozumiałości, z powodu hołdów, które mi bywają składane.“

Młoda dziewczyna patrzyła na posadzkę, w przeświadczeniu, że powiedziała coś bardzo przykrego. Powiedziała zaś tak dlatego, że ta rozmowa, która tak niespodziewanie doszła do skutku, nie była jej obojętną.

„Powiada pani, że jej nie znam. W rzeczywistości zaledwie pamiętam imię pani. A jednak znam panią lepiej, aniżeli ktokolwiek, kogo pani poznała na tym świecie. Uważa to pani za niemożliwe. Przyszedłem, by pani to udowodnić. Zapewne nikt pani nie powiedział, pomimo jej starannego wychowania, że nie ma różnicy pomiędzy wewnętrzną wartością człowieka a jego zewnętrznym wyglądem. Uważać mnie pani będzie za zarozumialca, jeżeli jej wyjaśnię, że całą jej istotą, jej całą uczuciowość i sposób myślenia, jej rodzaj kochania, cierpienia i radowania się, z jej pojawienia się na wczorajszym wieczorze poznałem

przeczułem jako to, czego od lat na tym świecie szukam, i czego tak łatwo drugi raz nie zobaczę. To wyjaśnia pani, dlaczego tak nagle się zdecydowałem. Byłbym już wczoraj wieczorem o tem z panią mówił, gdyby pani nie była wyszła niepostrzeżenie ze swą matką.“

„Jeżeli pan za trzy godziny tak dokładnie mnie poznał, małą będę dla pana rozrywką przez całe długie życie.“

„Nie szukam wcale rozrywki przy pani. Bóg świadkiem, że to co innego. Chłop szuka żony, uważa pani, któraby mogła dlań pracować, która dlań przedstawia wartość pieniężną. Próżniak bierze żonę, przy której się rozerwać może. Pięknoduch żonę, która go „rozumie“, choćby nie wiem jak była prostoduszną, choćby nie wiem jak mało rozumiała świat, byle j e g o rozumiała. Poszukuje więc tylko względnej wartości u swej żony, poszukuje jedynie wywyższenia własnej osoby; musi go uwielbiać. Wszystko to są egoiści pośledniejszego gatunku. — Ale kto wie, czem kobieta jest jako żona, czem może żona być na tym świecie, wyszukuje najwspanialsze z tego, co życie wydać może, by ją m ó d z nazwać s w o j ą w ł a s n ą. Nie szuka zaś żony, któraby stała wobec niego w jakimś względnym stosunku, ale która sama czemś jest: posiada dojrzałość, przepych, wzrost, wielkie żądania i wielkie uczucia, oraz zdolność do szczęścia na wielką skalę. Wtedy pewnym jest własnego uczucia. — Tylu ludzi uskarża się, że nie danem im jest w udziale ośzołomiające szczęście, a nie wiedzą, że to oni tylko są za mali, by w najlepszym wypadku odczuć takie szczęście. Jest tylu mężczyzn, którzy wolą żonę

brzydką od pięknej, nie skutkiem błędu, z niewiedzy, ale z powodu, że ich piękność przeraża. Czy będzie pani kiedy považała mężczyznę o takich wymaganiach? Zna pani samą siebie. Czy kochałaby kiedy pani mężczyznę, który się zadowala mniejszem, aniżeli pani?“

„Ale skąd pan wie, że ja wszystkie te piękne, wielkie przymioty posiadam, o których pan mówi?“

„Chcę to pani wyjaśnić, jeżeli mi pani zechce poświęcić chwilę uwagi. Nikt mnie lepiej nie pojmie aniżeli pani. — Jeżeli pani idzie za kim, nocą, gdy jest zupełnie ciemno, albo w czasie mgły lub deszczu, i ten ktoś przed panią ma płaszcz okrywający go aż do stóp, to żadnej linii jego kształtu dokładnie rozpoznać nie można. Zostaje jednakże coś, po czem całego tego człowieka rozpoznać można...“

„Jego chód!“

„Słusznie. Skąd pani wie o tem?“

„Nie wierzę w to. — Ale nic przecież innego nie pozostaje.“

„Nauczy się pani w to wierzyć. Chód człowieka nie jest przecież czemś przypadkowem. Jest on ściśle związany, rodzajem i sposobem, z budową jego ciała. Jeżeli przy sposobie ubierania się pań z kształtu kobiety nie można nigdy nic sądzić, dopóki jest w spoczynku, to natenczas widzi się najdokładniej proporcye i zarysy, jeżeli zrobi trzy kroki. Ale wróćmy do naszego nocnego zjawiska. Chód człowieka ma swój rytm, który nie da się słowami objaśnić, trzeba go odczuć, Z tego rytmu uda się pani, przy pewnem doświadczeniu, z łatwością odbudowanie całego ciała. Będzie pani wiedziała na pewne czy idzie przed panią kształt renesansowy, czy rokoko, czy

klasyczny, czy figura fin de siècle. Bardzo ważnem jest przy tem, czy linia ruchu, od głowy aż do stóp, spływa nieprzerwanie, czy też u bioder się załamuje. Jeżeli się u bioder załamuje, nie ma się przed sobą natury jednolitej, i to nie da się zakryć płaszczem najbardziej fałdzistym. — A jeżeli ma się już pewność co do ciała, pomyśleć sobie trzeba odpowiedni wyraz twarzy, przedewszystkiem nos i usta. Rzeczywiście z chodu kobiety można wywnioskować, czy ma ona noski zadarty, czy orli, czy ma pełne, czy wązkie wargi. A potem wie się z stanowczą pewnością, czy dama, jeżeli się poznać, będzie cię rozumieć i kochać, czy nie; czy jest ona w pani guście, czy nie; czy będzie ją pani kochać, czy nie.—

Z tego wszystkiego nie pozna pani, czy to jest księżniczka, czy żebraczka, kucharka, czy milionerka, ale rozpozna pani rodzaj człowieka, jego wewnętrzną i zewnętrzną wartość, pozna pani, czy ma pani do czynienia z naturą wolną, czy niewolniczą, bogatą, czy ubogą. A gdy wtedy przyspieszysz kroku, gdy przyjdiesz tuż koło osoby i jej w twarz popatrzysz, natenczas zdarzy się w wielu wypadkach, że się pani . . . “

„ . . . pomyli, mój panie ! “

„ . . . że się pomyli. I wtedy wiem, że przeszedłem obok stworzenia nierasowego, które mnie, tak jak i w tym wypadku, przez całe życie oszukiwać będzie, okłamywać i zwodzić, i u którego w nagrodę miłości otrzymam niewdzięczność; i wtedy idę dalej jak mogę najszybciej, albowiem od takich natur trzeba się trzymać zdaleka, i choćby się nie wiem jak starało, zawsze zbierać się z nimi będzie niepowodzenia

życiowe. Gwiazdy zaś nie kłamią. Gdzie one kłamią, tam nie ma nieba, tylko figiel dyabelski. Najcharakterystyczniejszym u ludzi jest, że są jednolici ciałem i duszą, rozumem i ciałem, tak, że z jednego poruszenia ręki — jak pani to w tej chwili czyni — można odgadnąć uczucie serca; że są stworzeni z jednej myśli, że są dziełami sztuki w tej myśli, jak niem musi być każde wielkie dzieło stworzenia. Byłbym się tak samo w pani zakochał, gdybym był widział li tylko rękę, lub nożkę pani, gdybym ujrzał list przez panią pisany, jak i teraz, gdy patrzył na panią przez cały wieczór. Widziałem panią w rozmowie z dwudziestu najmniej osobami. Ci ludzie nie uszli też twejgo sądu, i mogę pani powiedzieć, jeżeli pani sobie życzy, co o którym z nich pani sądzi. Potem będzie pani mogła rozstrzygnąć, czy znam wewnętrzną istotę pani, o której pani przypuszcza, że nie wiem. Dla mnie w każdym razie było każde pani słowo, które podczas zabawy pochwyliłem, potwierdzeniem tego, co pani królewski wzrost i szlachetny sposób poruszania się, na pierwszy rzut oka mi obwieścił..“

„Hm, miłość zaślepia...“

„Miłość zaślepia; ale kogo, proszę pani? — Człowieka, który nigdy nie wyszedł poza ciasne stosunki, który ani świata, ani ludzi nie zna, i zdaje mu się, że dokonał wolnego wyboru tam, gdzie tylko uległ swym zwierzęcym instynktom.

— A gdy się kto z podobnych mnie zakocha, to wie dlaczego. Tego może być pani pewną i ja jestem pewien, że pani będziesz dumną, że nie należysz do ciasnych natur kobiecych, które zazdroszczą mężczyźnie przeszłości. Sama pani byłaby zawstydzoną,

gdybyś wychodziła za człowieka, który by nie mógł mierzyć wartości pani wartością innych kobiet, które poznał. Kochałem panią, długo przedtem nim ją poznałem; w przeciwnym razie nie miałbym trzydziestu sześciu lat, będąc kawalerem. Mało który z wielbicieleli pani będzie mógł się pochlubić tą przewagą. — A teraz pozwól mi pani na ostatni dowód na to, że nie jestem ślepy, i że co do pani nie mylę się, że czytamy w oczach pani. Oto, co pani za słuszne uzna, tam nie waha się pani długo, lecz całym swoim „ja“ idzie pani za tem. Lubi pani ryzykować życie. Trwożliwe wyczekiwanie, brak decyzji, zasięganie rad i pomocy u innych, to nie pani rzecz...

Panna Ella, która na chwilę teraz ukryła twarz w dłoniach, podniosła się w całej wysokości z krzesła, zarzuciła gościowi, który powstał równocześnie, ramiona na szyję i ucałowała go....

Gra o życie była wygraną....



Rabbi Ezra.



— Mojżesz, Mojżesz, ty mi się nie podobasz. Po co chcesz się zaręczyć, mając dwadzieścia lat, skoro ożenisz się, gdy będziesz miał dwadzieścia pięć lat?

I stary Ezra patrzył na syna z pod brwi, jakby pragnął we wnętrzu jego głowy odczytać jakąś kabalistyczną cyfrę.

— Kocham Rebeke.

— Kocham Rebeke? Skąd wiesz, że kochasz Rebeke? Mogę ci wierzyć, że kochasz małą nóżkę, białą skórą, gładkie oblicze; ale skąd wiesz, że to Rebeka? Uczyłeś się rzymskiego i chrześcijańskiego prawa, ale nie studyowałeś kobiet. Czyż na to wychowywałem cię troskliwie przez dwadzieścia lat, abyś rozpoczął życie od strzelenia głupstwa? Ileż to kobiet znasz Mojżesz, że możesz powiedzieć twemu staremu ojcu, że ty kochasz?

— Znam tylko jedną, i tę kocham z całego serca.

— Z całego serca. Co to znaczy? Czyś poznał całe swoje serce?

— Proszę cię zupełnie seryo, drogi ojcze, nie drwij z mych uczuć.

— Mojżesz, Mojżesz, nie bądź bzikim. Powtarzam ci, nie bądź bzikim. Pozwól, że ci opowiem pewną historyjkę. Chodź, usiądź przy mnie na tym

miękkim kobiercu. Opowiem ci, co powiedział mi mój ojciec, gdy miałem dwadzieścia lat. Ezra — rzekł do mnie — gdy się będziesz żenił, ożeń się z bogatą kobietą. Pozwól sobie powiedzieć ojcu, że kobieta to rzecz znikoma. Ale taki srebrny talar, Ezra, ten przetrwa generacye! — Pomyślałem sobie, że to stary człowiek i poprzysiągłem mu, że żona moja będzie miała trzydzieści tysięcy talarów. Ale chcę ci wyjaśnić Mojżeszu, dlaczego zakochałem się, dlaczego się ożeniłem z małą Leą, dlaczego w trosce żyłem z nią, dopóki nie zniknęła, jak niknie śnieg trzymany w ręku. Bo nie znałem kobiet. Bowiem nie znałem, Ezry, samego siebie.

Mojżeszu, jestem stary i nie żądam od świata niczego, jedynie by tobie dobrze się powodziło. Ale gdy miałem lat dwadzieścia, wtedy było we mnie, jak w kurniku rankiem, gdy słońce wschodzi. Gdym szedł ulicą i szła jakaś chrześcianka, lub któraś z naszej wiary, natenczas czułem ją w kończynach palców, i chciałem być królem Salomonem, który miał pięć tysięcy kobiet. Ale musiała być tak zbudowana, jakby ją Pan stworzył dla samego siebie. Mojżeszu, czy rozumiesz dobrze, wyposażona wszystkiem, co kobieta z drogocенności może posiadać. Jeżeli była mała, blada i mizerna, jeżeli się trzepotała jak szczur, natenczas przechylałem w jej stronę mój parasol, albowiem bolały mnie oczy, gdym się patrzył na nią. Ale gdy była słuszna jak cedr Libanu, wtedy parasol pochylałem w przeciwną stronę, i obraz jej zanośiłem ze sobą do domu i patrzyłem weń nawet przy talmudzie, a w świętych jego słowach słyszałem takt jej kroków. A w nocy zjawiała mi się we śnie, i obraz

jej pokazywał mi Bóg sprawiedliwy, jako Mojżeszowi, któremu imię zawdzięczasz, pokazywał na górze Nebo ziemię obiecaną. Chciałem ten obraz chwycić rękami, widziałem kraj mlekiem i miodem płynący, i nie mogłem pójść przez Jordan z woli Pana.

Wtedy to, powiedziałem sobie — Mojżeszu, czy ty przypuszczasz, co sobie powiedziałem? — Nu, powiedziałem sobie: ty jesteś dzieckiem szatana, tyś już był niem w łonie swej matki. Jeśli chcesz słuchać swych żądź, jeżeli przejdiesz przez Jordan, wtedy trafi cię gniew, i staniesz się dzieckiem śmierci. Nie powinieneś iść do kobiet, które podobają się twym zmysłom, ale do kobiet, które podobają się sercu, jeśli nie chcesz, aby ciało twe było jako ciało Hioba, jeżeli dzieło twych dni i nocy nie ma być przeklętem, i jeżeli nie chcesz żreć trawy jako Nebukadenezar.

I wtedy poszedłem do starego Ezechiela i powiedziałem mu, aby mi dał swą córkę Leę, przysięgając mu, że własnymi rękami drogę jej ścielić będę. Była to dziewczeczka, ta Lea, jako cień na szybie, można ją było użyć za zasłonę do lampy, alem ją kochał, sądząc, że uratuje mnie przed samym sobą, przed czartem i śmiercią, którą we dnie i nocy czułem nad głową. Z początku mnie nie chciała, bo byłem słuszny i barczysty, a ona mała i mizerna, tak, że wstydziała się iść ze mną ulicą. Ale ponieważ nikt inny się nie nadarzył, przyjęto mnie.

A teraz, Mojżeszu, usłysz od twego starego ojca, jak nasz ludzki rozum jest ograniczony, i jak wszystkie nasze sądy są mylne. Słodczy miłości nie kosztowałem był wtedy jeszcze nigdy, jako właśnie ty, Mojżeszu; byłem jeszcze czysty, jako rosa na Hebronie,

podobnie jak ty, chociaż uczyłeś się prawa rzymskiego i kościelnego, a zaniedbałeś Mojżesza i proroków. Ale gdy zakosztowałem miłości z Leą, poznałem, że to grzech przed Panem, i dziękowałem Panu, że mi dał kobietę, która mi niedozwalała chodzić drogami bezbożności. Marzyłem jednak w nocach samotnych, że miłość powinna być ciału jako balsam, i patrz, nie była słodsza, dla mnie i dla Lei, od lekarstwa danego choremu. Przeto używaliśmy jej tak, jak się używa lekarstwa, z zamkniętymi oczyma i z dławieniem w gardle, i nie więcej, aniżeli lekarz przypisał; a jeśli się kiedy przebrało miary, to czuło się, że się jest osądzonym i potępionym przez Boga, i kryło się jako złodzieje w nocy, którzy razem przy dyabelskim dziele przyłapani zostali. Wtedy rzekłem sobie: Ezra, poznałeś, że miłość cielesna jest służbą szatana i nie jest godną, by człowiek jej ulegał. — Ale, Mojżeszu, wierz twemu staremu ojcu, nie byłem ja szczęśliwy.

...nie byłem szczęśliwy, Mojżeszu, mój synu, Pan mi świadkiem; gdyż mogłem tylko tyle rozmawiać z moją Leą, ile potrafię rozmawiać z moją trzepaczką do sukien, lub ile mogę przemawiać do moich paznokci. Jej myśli nie były moimi myślami, albowiem ona wcale nie myślała. Wtedy pogрузyłem się w samotności, a samotność była bardziej rozmowną, aniżeli moja Lea, i powiedziałem sobie: Ezra, kupiłeś kota w worku; na twą głowę spada odpowiedzialność. Mogłeś przecie przedtem zbadać, czy jej duch stworzonym jest dla twego ducha, czy jej serce jest bratem twemu sercu. Nie daj jej poznać, Ezra, że kupiłeś kota w worku, gdyż ona jest niewinna, jako jagnię, idące do pojenia. Dlaczego nie szukałeś tak

uważnie, biorąc żonę, jak uważasz, gdy idziesz do sklepu i kupujesz krawatę za markę dwadzieścia?!

Tak to żyłem z nią i cierpiałem, i milczałem dwa lata, i kochałem ją zawsze, tę moją Leę, gdyż ciągnęła mnie do słodczy ciała — aż oto miała mnie obdarzyć chłopaczką i nie podołała temu, i podobało się Panu, zabrać ją ze świata, wraz z mem dziecięciem.

Mojżeszu, wtedy mi było, jakby mi kto wypalał gorącym żelazem wnętrzości ciała, jakby kto spopiełił całą ziemię, a ta wymarła, a ja sam pozostałem, by dźwigać przekleństwo. Wtedy zbuntowałem się przeciw Jehowie i wołałem: Przeklętem niech będzie Twe imię. Przecz-żeś mi zabrał kobietę, którą sobie wybrałem, aby ci służyć! Czyż ogłupiał, że miażdżysz twe dziecko, a oszczędzasz swoich wrogów. Czyż nie możesz zabrać jagnięcia bogaczowi, lecz musisz je zabierać biedakowi, dla którego było wszystkim! Niech będzie przeklętem twe imię. Musisz mi zapłacić za tę napaść, musisz mnie na nowo wtrącić w pokusy i grzechy, musisz mnie znów oddać w ręce bezbożnego, ażebym duszę mą w trwodze i nędzy ukrył przed Twym gniewem! Przeklętem niech będzie Twe imię! Przeklętem niech będzie Twe imię! Na głowę twą me potępienie! — I wtedy poszedłem, by ból mój zdławić do dziewcząt rozpusty. Tak, Mojżeszu, wiedz o tem, do dziewcząt rozpusty. Nie dlatego mówię ci to, Mojżeszu, mój synu, abys ty szedł do dziewcząt rozpusty. A gdy szedłem kłamię Jehowie: Ty, Panie, winieneś, że idę, aby zdławić ból, do rozpustnych dziewek. Dlaczego zabrałeś mi Leę!

A teraz, Mojżeszu, otwórz uszy, abys zrozumiał. — Poznałem i dziewczęta chrześcijańskie i żydówki



i córki Chama. Nie szukałem tych, które się sercu memu podobały, ale tych, które mym zmysłom odpowiadały, albowiem poszedłem, by zdławić mój ból, poszedłem, aby zapomnieć Lei. I znalazłem taką, która była jako cedr Libanu, która obdarzona była wszystkim, co kobieta ze skarbów może posiadać. I doszedłem do przekonania, że im bardziej która odpowiadała mym zmysłom, tem rozsądniej mogłem z nią rozmawiać, tem chętniej przychodziła, tem bardziej owładała mem sercem. I doszedłem do przekonania, Mojżeszu mój synu, że im bardziej owładała moimi zmysłami, tem mniej szperałem za grzechami, tem byłem sprawiedliwszy, tem bliżej byłem Wszchemocnego. I choćbyś mi dał milion, Mojżeszu, nie dał bym zań tego przeświadczenia. Nie, nie wziąłbym go, bo poznanie prawdy daje dwadzieścia, trzydzieści, sto procent; a procenta są dziećmi i dziećmi dzieci. Można być nieszczęśliwym mając pół miliona, ale nie można być nieszczęśliwym przyszedłszy do przekonania, że miłość cielesna nie jest służbą szatana, jeżeli człowiek idzie drogą, wytyczoną mu przez Pana, gdyż on dwoje ludzi ukształtował w tym celu odmiennie i na ciele i na duszy.

I poszedłem, skruszyłem się, biłem się w piersi, i wołałem: Panie, Panie, posłuchałem Twej tajemnej rady. Mędrców nawet chwytnas w sidła, aby za dnia błędzili w ciemności i szukali w południe, gdyby w nocy! A potem Mojżeszu wyszukałem sobie kobietę odpowiadającą wszystkim moim zmysłom. Znalazłem Sarę, córkę Mardocheusza, wyglądającą wspaniale, gdyby świeżo skoszona łąka, i ta była twą matką. Zbadałem jej serce i nerki, i przekonałem się, że jej

serce jest bratem mojego serca. A w ślubną noc, Mojżeszu, mój synu, w noc, której zawdzięczasz życie, przekonałem się, że jej ciało jest bliźniem memu ciału, i wielbiłem Pana, którego duch nie kłamie, którego prawda objawia się we wszystkich jego dziełach....

Rabbi Ezra otarł pot z czoła i oddechał ciężko. A Mojżesz odszedł z pochyloną głową....



Pożar w Egliswyl.



W kantonie Aargau, w północnej Szwajcaryi, górskie zamki gęściej są obok siebie rozsiane, aniżeli w szczęśliwych północnych Niemczech podwórza chłopskie. Każdy szczyt górski, każda przełęcz górska ukoronowana jest starym zamkiem, lub przynajmniej jakąś ruiną. Z każdego zaś zamku można, przy pomocy miernej lunety, zaglądnąć jednemu, lub dwu innym do okien. W okolu kilku mil leżą nieopodal siebie Wildegg, Habsburg, Bruneck, Casteln, Wildenstein, Lenzburg, Liebeg i Hallwyl.

Zamek Lenzburg kupił był mój ojciec, gdy miałem ośm lat; tam spędziłem me młodociane lata. Mieścina Lenzburg posiada jednak prócz swego starożytnego, wysoko położonego zamku, inną jeszcze, mniej rozweselającą oko, osobliwość. Jest to kantonalny zakład karny, urządzone według najnowszych wzorów amerykańskich. Gdy tylko okoliczni właściciele dóbr mają jakąś cięższą robotę do wykonania, natenczas najmują stosowną ilość więźni z zakładu, takich, którzy do przymusowego swego mieszkania na tyle się przyzwyczaili, że nie usiłują zeń ratować się ucieczką. Między tymi robotnikami nie rzadko znajdzie się ciężki przestępca.

W 1876 roku zdarzyło się, że usunęła się część zbocza góry, wraz ze śniegiem, tuż obok skały naszego

zamku i zasypała pół drogi. Trzeba było kopać doły dwudziestostopowej głębokości, oraz poprzeczne rowy aby ten szmat ziemi odwodnić. Ojciec mój przeto zwrócił się do dyrektora zakładu, a ten mu dostarczył do tej roboty potrzebną ilość więźni. Strażnik więzienny towarzyszył im. Prócz tego i mój ojciec był od rana do zmroku na miejscu. Ponieważ robotnikom nie wolno było palić, dał im ojciec tytoniu do żucia. Pewnego dnia zapotrzebowano ołowianej rury, którą trzeba było kupić w miasteczku niżej położonem. Ojciec mój wziął ze sobą jednego z więźni. Gdy wracali, spotkałem ich właśnie u stóp skały zamkowej. Powracałem właśnie ze szkoły i miałem tornister na plecach. I tak wstępywaliśmy we troje na górę, w środku mój ojciec, mimo lat sześćdziesięciu, świeży jeszcze i rzeźki, prawdziwy typ człowieka z czterdziestego ósmego roku; po jego prawym boku więzień w swem niebieskawem, cwelichowem ubraniu, z twarzą okrytą ostrym włosiem, niosący na plecach ołowianą rurę; po jego zaś lewym boku ja, z tornistrem na plecach.

— Jak długo jesteście już w zakładzie? — zapytał więźnia mój ojciec.

— Siedm lat.

— A jak długo będziecie jeszcze?

— Ośm lat.

— Cóż was tam zaprowadziło?

— Jestem podpalaczem — rzekł więzień.

— Zapewne miałeś długi i chciałeś podjąć sumę ubezpieczającą twój dom?

— Nie miałem nigdy ani domu, ani długów. Byłem parobkiem. Ale — ale. — I potem opowiedział

swę dzieje. Pochodził ze wsi Egliswyl, gdzie też popełnił zbrodnię. Miałem wówczas najwyżej dwanaście lat, ale opowiadanie jego wywarło takie na mnie wrażenie, że teraz jeszcze, dwadzieścia lat później, przypominam sobie każde jego słowo.

— Zuzanna Amrajn — zaczął więzień — to była pierwsza! Tej, z woli Bożej, nie brakowało nic, ani zewnątrz, ani wewnątrz. Zrozumiałe to, przecież była córką urzędnika gminy. A wiedziała o tem. Nawet w ciągu tygodnia była zawsze zaczesaną i umytą, i pod jupką miała białą koszulę. Ja zaś byłem jeno parobkiem poniżej u Sutura, i gmina utrzymywała mnie od dziecka. Nie wiedziałem i nie dowiedziałem się nigdy, kto był moją matką, a tembardziej ojcem. W ogólności nie wiedziałem nic z tego, co się tyczy mężczyzn i kobiet, znałem się tylko na bydle, na krowach, cielętach i bykach; o tych wiedziałem, po co są na świecie i ile mają lat, nie wiedząc tego wcale o sobie, aż do chwili, gdy od Zuzanny się dowiedziałem, której to ojciec powiedział, że mam lat dziewiętnaście, i że za dwa lata pójdę w rekruty. Niosła właśnie do studni kubek na wodę, a ja trzymałem Bethi na łańcuchu, bo chłopak od dojenia do miasta właśnie był pojechał. Spojrzała na mnie zdziwiona, gdym się obrócił, sądząc, że mówi o Bethi. Mam dziewiętnaście lat, — powiedziałem głośno, przywiązując Bethi w stajni — i odtąd nie było już ze mną dobrze.

Zuzanna Amrajn była pierwszą. Nigdy, o ile pamiętam, nie odważyłem się aż do tej chwili popatrzeć na nią z przodu. Zdawało mi się, że nie potrafiłbym tego nawet we śnie. Patrzyłem na nią zawsze dopiero wtedy, gdy do domu odchodziła, i była do mnie

plecami obróconą. A przytem robiła takie oczy. Następnego wieczora rzekła mi, abym przyszedł do „Egli“. Powiedziałem, że nie mam pieniędzy. Wyjaśniła, że nic to nie szkodzi.

W niedzielę poszedłem do „Egli“, stanąłem przy drzwiach i patrzyłem, jak wewnątrz tańczą. Wtem poruszyło się coś we mnie, nie wiedziałem co, nie wiedziałem i nie myślałem, że był to pełen fałszu dyabeł. Wtedy przystąpiła Zuzanna Amrajn, ze swą przyjaciółką, małą Maryanną, i wciągnęły mnie do środka. Najpierw Maryanna musiała tańczyć ze mną. Z początku nie szło dobrze; nie trzymałem jej silnie, ale ona była tak sprytną, że gdy trzy razy dookoła przetańczyliśmy, szło już potem tak dobrze, tak ogniście, jak i innym, którzy brzękali łańcuszkami od zegarków, a ja uczulem wówczas wyraźniej, że się coś ze mną dzieje niezwykłego. A wtedy porzuciła Zuzanna Amrajn swego chłopca i wzięła mnie z rąk Maryanny, tak, jak byłem zgrzany, i nie tańczyła już z nikim więcej, dopóki się w sali nie zciemniło. Niekiedy tylko, gdy muzykanci wycierali sobie nosy, dawała mi szklanę wina, abym był rzeźki. Skutkiem tego przyciskałem ją jeszcze silniej do siebie, tak, że łopatki w tył podać musiała, a trzewikami nie miała gdzie stąpać. Ale ja wiedziałem już, co dziewczęta do tańca wabi, że to ani muzyka, ani wino, więc robiłem tak małe krocuki i tańczyłem tak uważnie, a z rozmachem, jak nikt w sali. Gdy taniec się skończył, pociągnęła mnie za rękę ze sobą. Maryanna musiała się kłócić, aby nikt z nami nie szedł. Buty zostawiłem po drodze przy studni pod korytem. Urzędnik gminny pił w „Egli“. Nad łóżkiem były wymalowane dwie róże. Potem

zgasiła światło — i Zuzanna nauczyła mnie czegoś, że raczej byłbym umarł, aniżeli się tego domyślił. Gdy do stajni powrócił, a naszych pięć krów spało w rzędzie, powiedziałem sobie: Wszystko to jedno! Człowiek, czy zwierzę — i tego nie odmienię!

Co nocy włożyłem oknem do Zuzanny i wyłaziłem tą drogą od niej, a zewnątrz wyskakiwał do mnie pies urzędnika gminnego, Barry, i lizał mnie po twarzy, tak jak ja to czyniłem z Zuzanną, nie mówiąc ani słowa, co nocy.

Ale była jeszcze i Weronika, córka bogatego chłopca Lesera, dumna istota, zawsze pierwsza wśród dziewcząt całej wsi. W niedzielę kroczyła ona i jej towarzyszki przez wieś, wszystkie w jednym rzędzie, tak, że żaden wóz nie mógł przejechać. Weronika w środku, bo była najślusniejsza. A kiedy jaki chłopak przechodził, patrzyły mu wszystkie siedm w twarz, wprost w oczy, dopóki ich nie minął; a gdy je minął, śmiały się tak głośno, że aż je przy kościele słyszał było. Co do Weroniki, to miała ona swego chłopca już od roku. Leser pewno o tem wiedział. Nie zważał jednak na to, gdyż Weronika pracowała za trzy — był przy tem tak bogaty, że jej to nie mogło wcale zaszkodzić. Ale tkacz Rudi miał u niej wyżerkę od jesieni. Potrafił on tylko trzy tańce odtańczyć w „Egli“, tyle pił wina. Potem opierał, siedząc, łokcie o stół w szynku, i nie mówił ani słowa. A gdy Weronika ujrzała raz że tańczącą całą noc z Zuzanną, nie siadając ani razu do stołu, zbliżyła się do niej i prosiła Zuzanny o jeden taniec ze mną, zapewniając, że mnie jej nie odbije. Zuzanna nie zgadzała się, ale ja chciałem i tańczyłem z nią. Zuzanna wybiegła. Zewnątrz na ławce szlochała.

Potem odeszła. A Weronika śmiała się tak, tańcząc, że mogłem jej aż do gardła niemal zaglądnąć. Wtedy też poczułem, że jest gorąco. I porównywałem, jak to było u Zuzanny, a jak u tej być musi! Zdawało mi się, że trzymam przynajmniej dwie Zuzanny w ramionach, tak była tęga. A ona zapewne czuła, co myślałem.

Po każdym tańcu wydawała mi się tęszą. Tkacz Rudi również odszedł. Gdzien się dotknął Weroniki, wszędzie była tak tęga, jak gdyby się ją rzeźnikowi przez zimę wykarmiało. Gdyby była trzyletnią krową, przysięgam, że byłbym dał za nią 20 napoleonów. Czuło się dobrze, gdy tańczyła sapiąc, że w domu musi robić za trzy. Nie wypuściliśmy się przeto z ramion i poszliśmy razem do domu, tak jakeśmy tańczyli. Wybiła godzina pierwsza, a tu ktoś zapukał w okiennicę. To tkacz Rudi — wstała i rzekła mu: „dobranoc“ przez okno, aby przypadkiem nie zechciał sprowadzić stróżów nocnych. Potem oznajmiła mi, że nie mam chodzić do Zuzanny, a ponieważ mi się podobala, przeto zgodziłem się na to. Ale w ciągu dnia wykalkulowałem sobie, że należy jednakże iść do Zuzanny i ją o Weronice powiadomić. Poszedłem przeto do Zuzanny w nocy i powiedziałem jej wszystko. Odpowiedziała, że nie jest taką, jak Weronika, że mogę sobie chodzić do każdej, wszystko to jedno dla niej, z wyjątkiem jednej, małej Maryanny, jej przyjaciółki. Pozatem mogę chodzić do każdej, nawet do Weroniki. Mam jej tylko przyobiecać, że nigdy nie pójdę do Maryanny. A ponieważ Zuzanna była dla mnie tak dobrą, więc zgodziłem się na to. Ale na drugi dzień pomyślałem sobie, że to nie ładnie ze

strony Zuzanny, że mi zakazuje iść do Maryanny. A że wtedy właśnie trzeba było podkuć naszego Muni, gdyż było ślizko, a myśmy mieli jechać do lasu, udałem się do kuźni. Mała Maryanna przyszła tam i oznajmiła, że ojciec przyjdzie zaraz, wypije tylko jedną szklankę na zdrowie słabego konia urzędnika gminnego. Zapytałem jej wtedy, czy mam do niej przyjść? Maryanna nie wiedziała dotąd, co to chłopiec, ale Zuzanna pouczyła ją już na tyle, że stanęła, gdyby złodowociała, wpatrzyła się w ogień kuźni i poczęła po cichu wstępować na schody. Nie dziw, dotąd nie miała jeszcze chłopca...

W najbliższą niedzielę pokłóciły się w „Eglic“ tęga Weronika i Maryanna. Ja zaś tańczyłem całe popołudnie tylko z małą Maryanną. Nie widziałem ani Weroniki, ani Zuzanny, a gdy tańce się skończyły, one się przez ten czas pogodziły i wracaliśmy we czworo do domu, Zuzanna, Weronika, Maryanna i ja. Trzymały mnie po środku siebie, bojąc się, abym im nie uciekł. Tak też szliśmy następnej niedzieli przez wieś, a parobcy kłęli i przysięgali się, gdy mnie tak idącego widzieli, że mnie zabiją, a dziewczęta, które przy nich stały, wyśmiewały się z nich i patrzyły na mnie, jak na wielbłąda, że idę naraz z trzema dziewczętami. Widziało się, patrząc na nie, że każda byłaby chętnie z nami poszła. Weronika zaś, Zuzanna i Maryanna szły, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, ani na dziewczęta, ani na chłopców. Pomiedzy sobą tylko rozmawiały, a śmiały się przy tem tak, że cała wieś słyszeć to musiała. Proboszcz właśnie przechodził wtedy po świeżo ośnieżonej drodze i udał, że nic nie widzi. Mnie tylko zajrzał w oczy. Ale

ja pomyślałem sobie, że to z pewnością z zazdrości, że już ma siwe włosy. — Co do małej Maryanny, to ta tak mnie kochała, że podarowała mi fajkę, zapewne dlatego, że dotąd jeszcze nie miała chłopca. Fajkę tę pokazałem Zuzannie, a Zuzanna ofiarowała mi futrzaną czapkę. A gdy pokazałem czapkę Weronice, ta darowała mi srebrny zegarek. Ale Zuzanna i Maryanna nie żyły już odtąd w takiej przyjaźni, i dlatego zapewne Maryanna, wiedząc, że jeszcze do Zuzanny chodzę, przyszła raz do mnie, podczas gdy Zuzanna była przy mleku wraz z Bertą. Tę Bertę uczył był nauczyciel, a ona również nie miała dotąd chłopca. Rozmawialiśmy długo u drzwi stajni. Nie podobała mi się, miała oczy zanadto zbliżone i nie widać jej było zębów, wstydzilem się jednak jej to powiedzieć. Sądziłem, że mi to zaszkodzi u innych. A gdy do niej przyszedł, była tak dzika, jak gdyby chodziło tylko o jej przyjemność. Nie podobało mi się to. Pomyślałem sobie, że jest dlatego tak dzika bo jestem dla niej za dobry — inaczej nie byłaby taką. Pójdź więc do Weroniki, ta nie zachowuje się tak dziko — a przytem jest to w całym tego słowa znaczeniu kobieta. Poszedłem więc do Weroniki — a potem pomyślałem sobie, jeżeli masz Weronikę, która jest najpiękniejszą, przeto możesz mieć każdą; ale Weronice nie przyznałem się, że byłem u Berty. Itak doszło do tego, że gdy przyszły żniwa, to żadna z dziewcząt, które tańczyły w „Egli“, nie mogła się pochłubić, że u niej nie byłem. Co zaś do wielkiej Weroniki i Amrajn Zuzanny i małej Maryanny to te wyczekiwały wspólnie co wieczora, abym przyszedł, by mogły iść ze mną przez wieś, aby wszyscy widzieli,

jak mnie one lubią, i żadna z nich nie wdawała się z innym chłopcem. Co do mnie, to we dnie charowałem, że aż mnie to cieszyło. Suter także się z tego powodu cieszył. Wszyscy dziwili się, że w ciągu roku tak się rozrosłem. Miałem bary, że można mnie było zaprządz do pługa, i brałem na nie, po nieprzespanej nocy więcej, aniżeli młynarz Wami z nad strumienia, gdy był wypoczęty. A ramiona miałem tak twarde, jak drzewo; i sprytny przytem byłem, a każdemu, kto by był ze mnie zadrwił, byłbym dopiero pokazał. — Teraz ma miarę, rzekł Suter. Teraz nie odpędzą go przy poborze.

Było to w środku lata. Otworzyłem właśnie drzwi stajenne, chcąc iść do Zuzanny Amrajn. A oto stoi żona Sutura przy drzwiach. Jasiu, gdzie chcesz iść po nocy? — Czy was to obchodzi, gospodyni? — Jasiu, powiem o tem mężowi. — Wtedy wróciłem do stajni. Suterowa miała 35 lat. Była wołowata. Twarz jej była, nie jako łąka, lecz, jak rola. Ale powiedziałem sobie, zrobię to dla Zuzanny Amrajn i dla Weroniki — inaczej da znać Suterowi. Bethi obróciła się przez sen, ale Suterowa udała, że jej nie zna. Ale ja wiedziałem. I rzekłem: Jeżeli powiecie Suterowi, że wychodzę w nocy, to powiem mu o tym waszym jednym razie. — Odtąd nie przychodziła już nigdy do stajni, a ja mogłem iść, dokąd mnie czart pędził,

A potem przyszły sianokosy, a potem żniwa, a potem winobranie — i na winobranii skarał mnie Pan Bóg, tak, że życie sobie zmarnowałem i stałem się podpalaczem. Tam to się stało na zamku Wildegga. Zarządca winnicy na zamku, pochodzący z Egliswyl, najął winobranców i winobranki w tej wsi. Był to

Handwritten notes:
 Kopie
 Rablica
 Pół woyana
 Pomi

urodzajny ten rok, ostatni, w którym winogrona kosszem nosiłem. Winobranie trwało trzy dni. Było nas siedmiu chłopów i dwadzieścia kobiet. Wszystkie tam były, wielka Weronika na przedzie. A trzeciego dnia wieczorem, pan zamku przywiózł cygana ze skrzypcami i tańczyliśmy na murawie podwórca. Parobcy zamkowi porozwieszali latarnie, a potem przyszły dziewczęta tamtejsze i tańczyły również. A była tam jedna pokojówka, pochodząca ze Szwabii, Była wiotka i drobna, jak szczyпка, ale miała oczy, które wwiercały mi się w mięso, tak, że ich nigdy nie zapomniałem, i widzę je dziś jeszcze. Ze mną przetańczyła raz tylko, ale gdyśmy szli drogą, poszła także, z grubą kucharką i śpiewała. Słyszę to każdej nocy. I nie poszedłem do Maryanny, chociaż tego chciała. Leżałem w stajni i patrzyłem w latarnię, a na drugi dzień byłem tak zmęczony, jak nigdy w życiu. Wieczorem poszedłem znów do Wildegg na górę, gdyż pozostawiłem jeden kosz, a wtedy zeszła pokojówka ze mną do niższego dziedzińca, poniżej skał, i dała mi się w usta pocałować. Gdym odszedł, czułem tu, w piersiach ból, a nie wiedziałem, co to jest, bo dotąd nigdy mnie piersi nie bolały. Dopiero drugiego dnia poszedłem znów na górę i prosiłem jej, bym mógł u niej zostać aż do rana, ale odmówiła. Trzy dni potem byłem w polu, ale nie mogłem pracować. A Suter rzekł: Co się stało Jaškowi? Nie je nic i nie pije i robić nie może? — Więc poszedłem w nocy do Weroniki. Weronika była bardzo rada, ale gdy od niej wyszedłem, było mi jeszcze gorzej, aniżeli przedtem. Poszedłem znów nocą na górę Wildegg, Za każdym krokiem było mi lepiej. Brama zamku była zamkniętą, wokół było ciemno-

Czekałem więc aż do rana i nie wróciłem do Egliswyl; pozostałem poniżej we wsi. Potem chodziłem co wieczora na górę, gdy się ściemniało, a jeśli zobaczył, choćby rąbek jej fartuszka, było mi tak dobrze, jak dobrze nigdy mi nie było, odkąd jestem na świecie. W ciągu tygodnia z sągim drzewa pojechałem do miasteczka Lenzburg. Tam kupiłem pierścionek, abym coś miał, gdy do niej pójdę. Kupiłem go, aby mi łatwiej było przystąpić do niej. Śmiała się, biorąc go i pozwoliła się ucałować w usta. Potem powiedziała, że mam przyjść pojutrze, gdy będzie ciemno. A gdym z góry schodził, powiedziałem sobie: tam w dole leży Egliswyl, a tyś teraz dobrym człowiekiem, nic ci teraz do szczęścia nie brakuje. Nie przypuszczałem nigdy, że jestem tak dobry. Ale to sprawił dyabeł, bo nieraz przychodzi on tak, gdyby sam Bóg. Pracowałem trzy dni, dopóki Maryi, takie jej było imię, znów nie zobaczyłem. Gospodarz nigdy nie miał tak tegiego parobka.

I znów tak samo, znów trzy dni, i znów z nią się widziałem wieczorem. A przy pracy przychodziły mi takie myśli: Gdy wrócisz z wojska, będziesz ciułał każdy grosz i zanosił do kasy, aż zbierzesz na chatę i kawał roli. Potem pójdiesz na zamek i zapytasz Maryi, czy chce być twoją. A gdyby odmówiła pojedziesz do Ameryki i nigdy się nie ożenisz, choćbyś miał sto lat. Ale Marya nie odmówi. To byłoby źle. Zresztą odmawiałaby ci przecież już teraz i nie mówiła, byś przyszedł pojutrze. Tak tłumaczyłem sobie rano i wieczorem, gdym bydlu w stajni zakładał świeże siano.

Obecnie przemyślałem już siedm lat, lecz dotąd nie wiem, co mnie do zakładu sprowadziło i spowo-

dowało, że na wstyd sobie lata męskie zmarnotrawić muszę, a nie miałem z tego najmniejszej korzyści. — Marya, było to słabe stworzenie, i gdyśmy się przez parę tygodni obcałowowali i ściskali, poniżej, w niższym dziedzińcu, pod skałami, na śniegu i w chłodzie, tak, że nieraz mokrą była aż po kolana, wtedy zapragnęła, by to się działo w cieplejszym miejscu, a ja rzecz jasna, nie miałem nic przeciw temu. Wówczas pokazała mi, którędy po skałach wspiąć się można, spała bowiem sama w małym pokoiku, położonym tuż pod wielkim oknem sypialni pani zamku, wykutem w litej skale. Wypinałem się przeto do góry w nocy, gdy była we wsi 12 godzina, drżąc, aby się jaki kamień w dół nie stoczył i państwa nie obudził.

— Marya cicho otworzyła okno, a następnie zamknęła je. Potem przez godzinę nie mówiliśmy ani słowa. A gdym od niej wychodził, była taką samą zupełnie, jak przedtem, nim do niej przyszedłem. Nie była to ani jej, ani moja wina. Był to czart, pełen fałszu.

Po skałach zsunąłem się na dół. Utraciłem czucie na czas pewien w rękach i nogach. A potem czułem tu, w krtani, jakbym miał stryczek na niej i był wieszany. I w piersi to czułem, i na plecach, i zdawało mi się, że się wewnątrz wszystko we mnie wypaliło. Każda żyła moja była zatruta. od stóp aż do głowy. Najpierw chciałem się utopić, ale potem rozważyłem: Nie, cóżby ona o tobie pomyślała! — Ani płakała, ani się nie śmiała. Zesztywniała tylko. A potem pomyślałem o Zuzannie Amrajn, o Weronice i o Maryannie. Te są winne, powiedziałem sobie, te są winne! — Nie było to prawdą, wiedziałem o tem. Potem pobiegłem drogą do Egliswyl. Nieraz w zakładzie

tak źle ze mną bywało, że wyłem i tarzałem się po kamiennej podłodze, dopóki mnie nie zamknęto tam, gdzie nie ma ani światła, ani powietrza. Ale wtedy myślałem o owej nocy i mówiłem sobie: mogą ze mną robić co chcą, gorszego od tego, coś tej nocy wycierpiał, nie ma na Bożym świecie — a to już minęło. Mogą robić z tobą, co chcą. Gdyby mnie był kto wtedy chwycił, związał, na ławę obalił i bił, byłbym mu za to dziękował, aż do ostatniego tchu. Ale nie było nikogo. Byłem sam. Krzyczałem i wyłem, jak zwierzę w rzeźni, gdym szedł górą przez las. Ale to mi nie pomogło. Ciągłe przelatywały mem ciałem, gdyby płomienie, ciągle na nowo, ciągle bardziej palące. Było mi, jakbym był w płonącym domu. Nie mogłem wyjść. Do okien, do drzwi, przez które wyglądałem, biły gorące płomienie, wprost w twarz. A podemną płonęła ziemia, acz była już zamarznęta, tak, że biegłem, jakby gnał jakiś wróg za mną. Gnało mnie tak, że z początku nie wiedziałem, co mam czynić. Nagle przysłała mi myśl. I wtedy uczułem, że mi jest lepiej, biegłem jednak dalej, oczekując zmierzchu. Widziałem tylko płomienie, same płomienie. Przedemną, wśród drzew, szumiało.

Wiatr w samą porę, — rzekłem do siebie. Musisz zacząć tam, skąd wiatr wieje, aby dalej roznosił. Zbiornik z wodą zamarzył, pomyślałem. Dobrze tak, dobrze. A gdy do wsi Egliswyl przybyłem, przesunąłem się na lewo, gdyż z tej strony wiał wicher i wpłynąłem w pięciu domach pod strzechy, oraz na kopiec siana. Trzecim był dom Lesera. Pomyślałem wtedy, czy Weronika się spali, czy nie — i podłożyłem ogień. Potem uciekłem. Gdym do lasu przybył.

paliło się już, a ja grzałem tym widokiem swe serce. W pośrodku lasu byłem jeszcze, a już brzmiały dzwony w miasteczku Lenzburg i w Stanfberg i tam, w Amriswyl. A potem usłyszałem: bum, bum. Był to strażak na zamku Lenzburg. Wystrzelił z armaty na trwozę. Gdy z lasu wychodziłem, wszystko było na niebie czerwone, a dołem, słyszałem, że po gościńcu pędzą sikawki. Muszą długo gasić, pomyślałem, nie mając wody – i popędziłem dalej do Wildegg. Nie wiem już, jak wspiąłem się po skałach i zapukałem do okna. Wtedy ukazała się Marya w koszuli. Puść mnie rzekłem. Wiedziałem, że wypowiem to tak, że będzie musiała. — Otwórz Maryo! Wtedy otworzyła. — Słyszalas? Pali się! — Co się pali? Gdzie się pali? — Widzisz, tam! Całe niebo gore! — O Boże Niebieski! O litościwe nieba! Pali się! Pali się! Cała wieś płonie! Wieś Egliswyl! — Ja to zrobiłem. Patrz, jak się świeci. W pięciu miejscach podpaliłem, Maryo! Patrz. patrz! A teraz, czy jestem mężczyzną, czy nie?

Ale ona wciąż była, gdyby z lodu. Nie poruszyło to jej. Zbladła, jak kreda. Potem ubrała się tak szybko, jak tylko mogła i rozbudziła cały zamek. Potem pobiegła do kancelaryi zamkowej, zawołała ludzi i powiedziała, że wie, kto wieś Egliswyl podpalił. Ja nim byłem. Chciałem się u niej ukryć, w jej izbie. Tak mnie nienawidziła! Wtedy przyszli na górę z kajdanami; stałem jeszcze przy oknie, patrząc, jak niebo stawało się coraz czerwieńsze, coraz krwawsze — i cieszyłem się. Nie czułem już w piersiach roztopionego żelaza. Wtedy wzięli mnie i zaprowadzili na podwórzec zamkowy. Marya była przytem. Nie śmiała się, nie wiem, dlaczego. Była spokojna i zimna“.

Wydostaliśmy się właśnie na górę, gdzie było usypisko. Powyż, w oddaleniu jednej godziny, wznosił się zamek Wildegg w ciepłych blaskach zachodu. Okna skrzyły się. Ojciec mój, w czasie opowiadania, byłby był mnie chętnie oddał, gdyby po drodze na górę było to możliwem. Czułem to dobrze. Więzień zgiął swą kościstą postać i położył ołowianą rurę na murawie. Zresztą ojciec myślał zapewne, że nie rozumiałem słów usłyszanych. I rzeczywiście, nie rozumiałem ich wtedy. Odczułem tylko wrzenie namiętności. Zrozumiałem dopiero daleko później. Więzień był zapewne wtedy znów na wolności.



Stary konkurent.



Leonia Fiszer była niezwykłą naturą. Jej rysy nazwać można było raczej słodkimi, aniżeli pięknymi. Czar ich polegał na wyrazie oczu i na nieco podniesionych kącikach ust. Znawca ludzi jednak, jakim ja byłem, musiał uznać, że to nie były rysy przejściowe, lecz, że jako staruszka tem bardziej jeszcze z tych powodów podobać się będzie, z jakich podoba się jako dziewczę. Kształt jej głowy był skończenie piękny, a szczególnie układ lśniących, czarnych włosów, szczelnie do głowy przylegających. Piersi miała jak pączki, biodra mogłyby być silniejsze, ale nosiła za to 36 numer trzewików. Co do rąk, to te byłyby daleko piękniejsze, gdyby, od czasu opuszczenia szkoły, nie zajmowała się gospodarstwem, sprzątaniami i praniem.

Leonia Fiszer była jedną z tych natur, które potrafią się znaleźć we wszystkich okolicznościach życia i pośród ludzi wszystkich stanów; które nigdy nie błądzą dzięki wrodzonemu taktowi i sposobowi myślenia, pozbawionego zarozumiałości; jedną z tych natur, które zawsze z innymi czują i wtedy są szczęśliwe, gdy ich otoczenie jest szczęśliwym.

Od piątego roku życia nie miała Leonia Fiszer matki, i nigdy nie opuszczała swego małego miasteczka, Lenzburga. Ojciec jej przez cały dzień stał za ladą

w swym handlu towarów mieszanych, a wieczorem przebywał z kilku staruchami w jednym z nielicznych szyneczków, siedząc przy okrągłym stole, źle oświetlonym, i nigdy nie wracał przed godziną jedenastą do domu. Od czasu śmierci swej starszej siostry prawie każdego wieczora było dziewczę samotnem w domu, zajęte robótką szydełkową, lub czytaniem książki, wypożyczonej z biblioteki miejskiej, i nigdy się nie nudziło. Mając lat siedmnaście, mogła była Leonia bardzo dobrze wyjść za mąż. Ojciec jej walił podówczas pięścią w stół, że partycję odrzuciła. Ale ona spokojnie się uśmiechała; czekała, aż zjawi się ktoś dla niej odpowiedni. A gdy się zjawił, nie namyślała się długo, tylko chwyciła go obydwoma rękami. Był on średniego wzrostu, miał lat trzydzieści pięć, chód elastyczny, interes przynoszący dochód, co dla jego narzeczonej było najważnijszem, umiał być poważnym, gdy należało, tak, że mogła z nim także mówić o rzeczach, które nie były w związku ani z jego interesem, ani z handlem towarów mieszanych jej ojca.

Młoda para w podróż poślubną udała się nad jezioro Garda. I oto siedzieli pewnego południa w blaszkach słońca obok siebie na werandzie, mówili mało, wstydzili się nieco swego zmęczenia i wdzięczni byli losowi za tak piękną chwilę życia. Piękne kąciki ust Leoni układały się do uśmiechu, skoro tylko jej oczy spotkały się z oczyma męża. Wtedy on patrzył na nią poważnie, a ona czerwieniła się aż po uszy, skutkiem czego poczynął spoglądać tak bezradnie i błagalnie na nią, jakby ją chciał prosić o przebaczenie. Kończyło się to zawsze tem, że ona wkładała swą rękę w jego dłoń i pozwalała ją pieścić, jak najczulej.

Tak bywało codziennie aż do zachodu słońca. Leonia korzystała ze swego szczęścia bez przesady, w zupełnem oddaniu się, ale bez krytykowania, bez zwracania uwagi na osobę męża. Kochała przedewszystkiem miłość, a czasem tylko w ciszy cieszyła się przyszłością dlatego, że znalazła tak miłego i dzielnego towarzysza życia. Tak też, bywało, marzyła podczas tego całego szeregu lat, gdy wieczorami samotna przesiadywała w domu. Gdy przed ołtarzem, klęcząc obok swego wybrańca: „tak“ wymówiła, przyrzekła sobie w skrytości, nigdy o to nikogo nie winić, czy będzie szczęśliwą, czy nie. A prócz tego modliła się gorąco do Boga, by jej i mężowi oszczędził ciężkich a nieprzewidzianych ciosów.

Cicho już było w wielkim hotelu. Drzwi pokoju były starannie zamknięte, zielone story opuszczone, na stole świeciła się nocna lampka, północ minęła już dawno, a młoda parka nie mogła usnąć. Pochodziło to stąd, że poprzedniego dnia używano mało ruchu, a także z tego powodu, że po wieczerzy wypito po filiżance mocnej, czarnej kawy.

— Skąd to pochodzi — zapytał szeptem młody człowiek — że ty, mając lat dwadzieścia i przy namiętności, która jest ci właściwą, tak jesteś spokojną. Jeżeli się ciebie z boku obserwuje, w jaki sposób mówisz i jak się zachowujesz, możnaby przypuścić, że ty już raz żyłaś na tym świecie. Inne dziewczęta są zawsze jednakie, gdy dom rodzicielski opuszczają, a ty jesteś tem cichsza i spokojniejsza, im coś bardziej niemilego cię spotka.

— Zapewne pochodzi to z tego, co jako dziecko przeszedłam — rzekła młoda kobieta. W jej

oczach lśnił dziwny blask, acz wokół wszystko było nocą.

— Cóż przeszedłeś?

— Gdy moja siostra umarła... Nie opowiadałam ci tego nigdy?

— Nie przynajmniej nie przypominam sobie.

— Widziałeś jej fotografię. Była prawie o głowę wyższa, aniżeli teraz jestem, a daleko tęższa w całej budowie. Ale nie była wcale niezgrabną, lub ociężałą. Była gibszą odemnie, i gdy stąpała, zdawało się jakby po każdym kroku lgnęła do ziemi. Pochodziło to zapewne stąd, że miała pełne, szerokie biodra. Najpiękniejszą u niej była szyja. Gdy teraz o niej pomyślę, widzę najpierw jej piękną, okrągłą szyję i okrągłe ramiona. A była to dziewczyna tak silna, jaką jest dopiero kobieta, gdy miała dwoje, lub troje dzieci. Nikt nie byłby przypuścił, że musi umrzeć. Ona sama tylko, o ile pamięcią sięgnąć mogę, oddawała się zawsze najczarniejszym myślom. I miała to w oczach napisane. Gdy się na nią patrzyło, zdawało się, że za chwilę staną jej łzy w oczach. Opowiadała nieraz długie historie o jakimś nieszczęściu, a gdy się potem spokojnie nad tem pomyślało, przychodziło się do przekonania, że nic w tem niema. Zawsze była podniecona i lękliwa. Z powodu ciągłej obawy przed nieszczęściem i śmiercią nie miała nigdy odwagi do życia. Dopiero przy samym końcu było inaczej. A to właśnie nie dawało jej spokoju. Zaledwie ubrała długą suknię i perfumowała się, myślała odtąd tylko o jednym: jak i kiedy wyjdzie za męża. A przytem miała jakieś dziwne przecucie, nie wiem skąd, że tego nigdy nie dożyje, że przedtem umrzeć musi. To było podstawą wszystkiego, co potem nastąpiło.

— Przypominam sobie — ciągnęła Leonia dalej — że gdy miałam lat dziesięć, spałyśmy w jednym łóżku. Obok łóżka stała kołyska, w której spała moja lalka, a w drugim łóżku spała Elżbieta, nasza stara służąca. Elżbieta chrapała tak głośno, że nieraz budziłyśmy się podczas nocy. Wtedy rozmawiałyśmy po cichu w ciemności, podobnie jak teraz my mówimy, tylko, że nad łóżkiem nie było baldachimu. I raz zapytała mnie Klara, jakim musi być mój mąż, gdy kiedyś za mąż wyjdę. Nigdy o tem nie myślałam. Powiedziałam, że nie wiem. Wtedy opowiadać mi zaczęła o sobie, że chce takiego, który by był barczysty i wysoki. Musi mieć krótki nos, pod nim mały wąsik i ładne, mierne, białe zęby. Włosy ma mieć krótko strzyżone, małe uszy, a jego usta mają być piękne, a na nogach ma mieć buty z dużemi ostrogami. Przez połowę nocy opowiadała o nim. Szukałyśmy pomiędzy naszymi znajomymi takiego, ale nie było żadnego, któryby jej pragnieniom w zupełności odpowiadał. I wtedy rzekła mi, tuląc skronie do mej piersi i szlochając gwałtownie: Zdaje mi się, że będę musiała kiedyś wyjść za jakiegoś pięćdziesięcioletniego, lub sześćdziesięcioletniego starca, bezzębego, który przy każdym słowie będzie się krzywił i kaszlał. Leoniu, Leoniu, żebyś ty wiedziała, jak ja się tego boję, jak mi straszno! — Czułam, że krew jej uderzyła do głowy, a ramiona jej były jak ogień. Przed rokiem właśnie ukończyła była nauki.

Innej znów nocy, gdy Elżbieta znów tak straszliwie chrapała, że aż się piec trząsał, opowiedziała mi wszystko, jak to jest w życiu, dlaczego się ludzie żenią, i dlaczego my dziewczęta chodzimy inaczej

ubrane, aniżeli wy mężczyźni. Mnie wydało się to rzeczą całkiem naturalną, ale ona wytworzyła sobie z tego bardzo przykrą historję. Niemal nie mogła mówić, słyszałam, jak jej pod kołdrą bije serce. Dotąd niczego o tem wszystkim nie wiedziałam, ani też sobie niczego nadprzyrodzonego nie wyobrażałam.

Gdy następnie w trzy lata później powróciła z pensyi, — była podówczas rzeczywiście bardzo piękną, wspaniałą dziewczyną, pomimo korpulencji, — zaproponował jej małżeństwo, Bóg wie jak stary człowiek. Był to stary, drzący, nędzny pisarz, mieszkający wprost naprzeciwko nas. Przez cztery tygodnie nie mogła się otrząsnąć z przerażenia. Nie chodziła nigdzie, nie mówiła nic, nie popatrzyła nikomu w oczy. Zdawało się, że stracił zmysły. Ten pisarz sądowy był poza tem wszystkim człowiekiem bardzo szanowanym; — moją miłością nie byłby jednak także. Opowiadał ojcu, że Klarę wziąłby chętnie za żonę, gdyż nie ma zupełnie przymkniętych ust, a to znamionuje wielki zasób uczucia. Co do tego miał słuszość. Z początku przyjmowała go całkiem przyjaźnie. Ale gdy spostrzegła jakie są jego zamiary, zaczęła nagle szlochać i rozchorowała się. Musieliśmy przez cały dzień lód jej przykładać.

Następnego lata przybył do Lenzburga Rudolf Eisner. Zaprawdę, stało się jakby rzeczywiście Pan Bóg zbliżył do siebie dwoje istot, z których każda, jedną dla drugiej, oddzielnie stworzył i wzrósć pozwoił, i z których, każda zaiste mogła pół świata przeszukać zanim by natrafiła na przeznaczoną dla siebie. Ujrzała go najpierw na przedmieściu, gdy szła do kąpieli; a zjawił się jej jako zorza północna.

Prawie że nie mogła postąpić kroku naprzód. Opowiadała mi, gdyśmy były same wieczorem, że czuła jak przez wszystkie żyły krew jej podnosiła się do góry, i następnie w dół splywała.

Gdy na wieczerzę powróciła, narzekała, że woda w strumieniu była dziwnie ciepła i mdła.

Na dworze było wtedy jedenaście stopni.

Ciężko jej było nie dać niczego poznać po sobie, ale i jemu z nią lepiej się nie powiodło.

Następnego południa przyszedł i kupował cygara. Był to prawdziwy Herkules; jego pierś była tak pełna i wypukła, że można było po niej przejechać bez szkody wozem naładowanym kamieniami; kolana ścisnął; kroki jego słyszeliśmy, gdy przechodził jeszcze koło ratusza; wąsów jeszcze nie miał, liczył dwadzieścia trzy lat; zatem wyraźnie widać było jego pełne usta, nie tyle same wargi, ile ich kontury. Gdy przechodził niską bramą, zgiął się mimowoli; od tyłu zdawało się, że się widzi jego ramiona przez rękawy surduta. Kapelusz nosił na tyle głowy; było to jedyne jego niedbalstwo; poniżej lśnił jego biały kark.

Głowę miał małą, ale elegancką i ruchliwą, nie nosił jej pochylony jak wół, ale wysoko i dumnie jak król. Właśnie ukończył był swą służbę wojskową, zdaje się, że był oficerem. Służył przy artylerji — a teraz został komisynerem w handlu żelaza obok niższej bramy. Drżałam dziwnie zachwycona, gdy widziałam Klarę stojącą obok mnie niemal nieprzytomnie i odychającą z trudem. Byłam jeszcze dzieckiem, ale muszę przyznać, że gdy się we dwa tygodnie później w tajemnicy zaręczyli, cieszyłam się z tego co najmniej tak bardzo, ile oni sami.

Spotkali się na pocztce, pisał kartkę, ona chciała także pisać, on dał jej pióro, potem się zaręczyli.

Przemówili do siebie zaledwie po słówku. On ucałował ją w usta i zajrzał jej w głąb duszy; ona to także uczyniła, zapewne namiętniej, a potem wszystko było jasnym i dokonaniem i zbudowaniem tak silnie, jak niebo ponad ziemią. Gdy przyszła do domu, ukłękła przed sofą, szlochała i krzyczała ze szczęścia i biła nogami w podłogę.

Ale otwarcie nie mogli się jeszcze zaręczyć. Nie wypadało, był bowiem jeszcze komisyjonerem; ale zamierzał przystąpić do handlu jako spółnik. Ojciec jego był bardzo bogatym młynarzem, Klara miała także dostać pieniądze; musieli jednak na to najmniej rok jeszcze zaczekać.

A na razie chodziłyśmy co wieczora, po zamknięciu handlu z żelazem, razem do lasu, Klara i ja, do „rzymskiego kamienia“. Musiała brać mnie ze sobą, gdyż inaczej inne dziewczęta byłyby za nią pobiegły, aby zobaczyć gdzie idzie. A potem całowali się przez całą godzinę, aż do wieczery. Siedziałam zawsze opodal; Klara nakazała mi, bym jej nigdy sam na sam z nim nie zostawiała nawet na chwilę, i przypuszczam, że on jej był wdzięcznym za to, co najmniej rozumiał ją. Pragnęli swe szczęście życiowe zachować nienaruszonym. Ale dla mnie nie było wcale drobnostką przypatrywać się co wieczora, jak co chwila czerwienili się i drżeli, a przy tem tak dziwnie i poważnie wyglądali, jak chmurne niebo, na którym lada chwila ma błyskawica zaświecić.

Rudolf, ile razy się ku mnie zwrócił, spoglądał na mnie przyjaźnie. Miałam zawsze ze sobą książkę,

ale nieraz litery przed oczyma mi tańczyły. Nieraz, gdy popatrzyłam na Klarę, ocierała sobie oczy z łez. Często, gdyśmy wracały, żal mi jej było bardzo, ale byłam tak wzruszona, że nie mogłam jej tego powiedzieć. Tak było przez cały rok, podczas upału, w czasie deszczu i podczas śnieżycy. Razu pewnego w zimie rozdarłam płaszcz, gdy z ławki wstawałam, nieraz przemarzałam, podczas gdy obok mnie, nad Rudolfem i Klarą śnieg niemal na gałęziach topniał.

Przy końcu następnego lata, zdaje się we wrześniu, wyjechał Rudolf na jeden dzień do domu i załatwił wszystko pomyślnie z ojcem. Do szczęścia mi sięcy miał mu ojciec dać pieniądze, aby mógł jako spółnik do interesu przystąpić. Miało się to stać w lutym; potem miał się z Klarą ożenić i odbyć z nią podróż do Włoch. Rozesłano już nawet powiadomienia, cały Lenzburg gratulował i Klara miała przy tej sposobności rozrywkę. Wydawało się jej to wszystko tak śmiesznem, że nieraz była tak wesołą i uradowaną, jak inne dziewczęta w czasie narzeczeństwa. A on przychodził do nas co wieczora. Ojciec siedział w restauracyi, a ja pisałam moje zadania. Starali się z całych sił nie być tak podnieconymi; całowali się mniej aniżeli poprzednio; stali się poważniejsi... a wesele zbliżało się z każdym dniem. Obejmowali się wzajemnie tylko oczyma. Widzę ich jeszcze dotąd oboje, jak milcząc siedzą naprzeciw siebie, ona na sofie, on na taburecie bez oparcia, nie poruszając się, jakby siedział na węglach. Czasem zaglądałam z mego miejsca pod stół, nie mogąc wierzyć w rzeczywistość tej ciszy — ale nie było nic. Opowiadałam, aby im czas prędzej mijał, o tem, co właśnie czytałam, dopóki nie

spozregłam, że mnie wcale nie słuchają. Wtedy milkłam i pisałam moje wypracowanie. Było śmiertelnie cicho. Słyszeć było jedynie szmer świecącej się lampy, skrzyp mego pióra i oddechy.

...Pierwszego grudnia dostała Klara strasznego ataku. Było to bezpośrednio po obiedzie. Odchodziła od zmysłów, jej twarz i ręce były sine, jakby polane atramentem, oddechu się nie słyszało, a serce jej biło tak, że się to przez suknię widziało. Całe przedpołudnie obawiała się, że w dniu jej wesela wybuchnie wojna, a Rudolf będzie musiał na nią, jako artylerzysta wyruszyć. Rozpięłam jej stanik i rozpuściłam gorset, ale to nie pomogło. Gdy lekarz przyszedł, jużśmy ją do łóżka zanieśli. Powiedział, że ma niebezpieczną wadę serca. Dał jej coś, że znów przysła do siebie. Pierwsze jej słowo, gdy otworzyła oczy, było: „Leoniu, Leoniu, ja muszę umrzeć!“

Wieczorem znów przyszedł lekarz. Rudolf i ja staliśmy przy jej łóżku; wiedział, że Klara i Rudolf byli zaręczeni. Gdy odchodził, powiedział mi, że pod żadnym warunkiem nie wolno mi Rudolfa do niej przypuszczać, to wzrusza ją bardzo, widział to. Powodem tego ataku jest przede wszystkim straszne podniecenie, w jakim się znajduje; jeśli go jeszcze raz do łóżka przypuszcze, to może być jej śmiercią. To samo powtórzył ojcu przy ładzie. Mnie polecono Rudolfa o tem powiadomić. Rzecz prosta, że następnego dnia nie byłam w szkole.

Starej Elżbiety nie było u nas od czasu, gdy Klara pensją ukończyła i mogła przy gospodarstwie pomagać. Odtąd łóżko w którym sypiała Elżbieta należało do mnie. Pierwszej nocy wstawałam co godziny

i dawałam Klarze świeże okłady z lodu na serce. Następnego dnia, gdy się jej nie polepszało, wzięliśmy dozorczynię, która przez cały dzień była i przy gospodarstwie pomagała, abym ja nie potrzebowała opuszczać szkoły.

Rudolf niemal skamieniał, gdy mu powiedziałam, że nie może iść do niej; nie powiedział nic, zdawało się, że mnie wcale nie rozumie. Wczesnie rano, w południe i wieczorem przychodził do sklepu i dowiadywał się, jak jest. Nie było dobrze. Klarze przez całą noc brakowało oddechu i nie spała ani minuty. Zawsze dopiero przed obiadem drzemała przez kilka godzin. Bolów nie miała. Ale skoro tylko opuszczała łóżko, dośtawała zawrotu głowy. Przy tem wszystkiem nie wyglądała inaczej, niż zwykle, raczej jeszcze lepiej; jej duże, wilgotne oczy, lśniły tak ogniście, a rysy jej miały w sobie coś gwałtownego, że rzeczywiście wyglądała przepyszenie. Rzecz zrozumiała, że mówiła wciąż o nim; prosiła wśród łez, aby go przyprowadzić. Powiedziałam jej, że nie można; wkrótce będzie lepiej, a potem się pobiorą. Ale ona patrzyła w górę na biały sufit, jakby wiedziała dobrze, że tak nie będzie. Podczas tego słyszałyśmy kroki Rudolfa na ulicy. Co nocy do jedenastej lub dwunastej chodził koło domu. Miałam wrażenie, że mnie coś za krtań ścisną. Najchętniej byłabym padła na łóżko i wspólnie z siostrą rozpaczała. Ale powiedziałam sobie, że nie można tego dać poznać, aby zupełnie odwagi nie straciła, i przemogłam się.

Następnego nocy rozmawiałam we śnie z Rudolfem. Widziałam go klęczącego przedemną, z rękoma ku mnie wzniesionemi, w których on, w tył podany, nóż

trzymał, chcąc się nim przebić. Ja zaś powtarzałam ciągle: „Nie, nie, nie, nie, nie!” i cieszyłam się, widząc, że się tak męczy. Naraz wszystko stało się krwią. Zbudziłam się nagle i usłyszałam Klarę, mówiącą do siebie: „Litościwy Boże, zmiłuj się nademną! Zlituj się nademną. Czemże ja na to, zasłużyłam. O Rudolfie, Rudolfie!”

Wstałam i dałam jej proszek. Potem stanęłam w nocnej koszuli przy piecu, i aby ją uspokoić, poczęłam jej wszystko możliwe o nim opowiadać, powtarzając nawet to, co on jej z czasów swej służby wojskowej opowiadał.

Następnego dnia miałyśmy najpierw godzinę rachunków. Zadanie zrobiłam, ale gdy miałam liczyć przy tablicy, nie wiedziałam, ile jest dwa razy czterdzieści. Koleżanki pytały mnie na przerwie co mi jest. Widziałam je zaledwie ze sznurami do przeskakiwania, wyskakujące koło szkoły, gdyż ciągle myślałam o Rudolfie i o Klarze.

Z Minną Hermann, moją przyjaciółką, wracałam pod ramię do domu. Była bardzo taktowną i nie pytała mnie, dla czego nie mówię ani słowa, a gdyśmy Rudolfa przed naszym domem spotkały, zostawiła mnie zaraz z nim sam na sam.

Był, jako dąb do którego przyłożono siekiere, drżał, stojąc przedemną. Chwycił się za pierś i rzekł, że czuje, jak dziewczę na górze cierpieć musi i jeżeli co jej śmierć sprowadzi, to z pewnością rozporządzenie lekarza; ma ochotę tego niegodziwca zabić za jego morderczą wiedzę. Powiedziałam, by o tem sam powiedział lekarzowi; rozumiem go wprawdzie, ale mu nie mogę pomóc. Wtedy ujął mą rękę w swoją

i ścisnął tak mocno, że aż mnie zabolalo, a druga gładził mi włosy:

— Nie — rzekł — ty mnie nie możesz zrozumieć, jesteś jeszcze uczenicą. Ale pomóż mi możesz. Twój ojciec wychodzi przecież co wieczora do restauracyi, wtedy jesteś sama z Klarą, wtedy...

— O Boże — rzekłam — nie mogę! Nie mogę — i wyrwałam się i pobiegłam do domu. Nie zdołałam pójść do Klary. Siedziałam w kuchni i płakałam, płakałam, dopóki zupy nie podano na stół.

Wieczorem przyszedł lekarz i bardzo spoważniał, chociaż myśmy wcale nie zauważyli by było gorzej. Ale on badał puls Klarze i przez pół godziny opukiwał jej serce.

— Tylko żadnego wzruszenia! Na miłość Boską żadnego wzruszenia — rzekł on.

Po wieczerzy byłam znów z nią sama, a ona mi, powiedziała to samo, temi samemi słowy, co Rudolf. Wydawało się, jak gdyby się byli ze sobą zmówili. Łajala mnie bezlitośnie, że nie jestem widać jej siostrą, przytem łkała tak, że poduszka na wskroś przemokła. Powinnam go przyprowadzić, on jest przecież na dole; umrze chętnie, wie o tem, że jest zgubioną, ale muszę ją pozostawić z nim sam na sam. Trzymała łokcie rozstawione, a ból trząsł jej ciałem. Myślałam, że już ból jej nie ustanie. Dopiero, gdy kroki jego na ulicy przebrzmiały, uspokoiła się. W środku nocy przebudziła się nagle, krzycząc boleśnie. Krzyku tego nigdy w życiu nie zapomnę. Wskoczyłam i dałam jej wody. Wypiła całą karafkę. Objawiła, że jej się śniło. Rano, podczas gdy się myłam i ubierałam, opowiadała, co jej się śniło. Było to straszne.

Skoro tylko zamknęła oczy — opowiadała — widziała starego człowieka. Pierwszy raz zjawił się, gdy w czasie ataku była bez zmysłów. Miał lysinę aż po uszy i wielkie, kształtu liści, uszy, przytem krótko strzyżoną, siwą brodę i maleńki, zadarty nosek. W piersiach był jak dziecko, a jego cienkie spodnie przebite były na wylot kolanami. Pojawiał się zawsze w cylindrze i w czarnym fraku, i macał przed sobą laseczką. W twarzy miał coś tak wstrętne, że krew krzepła na jego widok. Zaraz się jej przedstawił jako jej narzeczony. Za dni czternaście odprawi z nią wesele. Za każdym razem całował ją, broniła się kolanami i łokciami, ale on rękami trzymał jej głowę tak silnie, że musiała znosić pocałunki. A ostatniej nocy chciał ją wziąć. Rudolf stanął w jej obronie, ale stary zwałił go łaską przez oczy. Potem nachylił się nad nią. Wiedziała doskonale, że leży w łóżku. Coraz bliżej widziała jego zezowate, zaczerwienione oczy nad sobą i jego żółtą twarz z siwymi plamami brwi i właśnie gdy jego rękę poczuła pod swemi plecami, wtedy zdołała krzyknąć. „O Rudolfie! — jęczała, załamując ręce — nie zobaczę cię już więcej, nie zobaczę cię już więcej“.

Gdym na dół zeszła, stał Rudolf w sklepie przy ojcu z pochyloną głową, ale tak męski, tak młodzieńczy, z tak uduchowionym wyrazem oczu, jak nigdy. Chciał iść ze mną, ale pobiegłam, jak tylko mogłam do szkoły.

Podczas dwu pierwszych godzin maciło mi się w głowie. Miałam wciąż starego potwora przed oczyma, jak się nad mą siostrą w domu nachyla. Potem miałyśmy zadanie niemieckie, i wtedy myśl za myślą

napływała mi do głowy. Nauczyciel sam był starym człowiekiem, ale dobrodusznym; każdej godziny czytało nas piętnaście szeregiem to same zadanie, a on przy każdej miał coś do pochwalenia. Jednego, czego nie mógł ścierpieć, to tego, gdyśmy miały suknie za krótkie i we włosach pstre wstążki. Nazywał nas wtedy próżnymi srokami. Minna Hermann odpowiedziała mu raz, gdy się przy jej sukni zatrzymał, że ona temu nie winna, że ma długie nogi. Wtedy zawlókł się na mój pult, podniósł go do góry i przez kwadrans nie było go widać.

— To jest śmierć, powiedziałam sobie; to jest śmierć, która chce ją porwać. I potem postanowiłam zaraz po szkole pójść do lekarza i spytać go, czy Klarze znów będzie lepiej, czy nie. Trawiło mnie coś, takiego uczucia do tego czasu nie znałam nigdy, a zdawało mi się co chwila, że mi się z bólu robi niedobrze. Czułam zupełnie tak, jakbym była na miejscu Klary. Czułam jej gorącą tęsknotę za Rudolfem i jej strach przed starcem. Jesteś bezlitośnym dyabłem bez uczucia i serca — powiedziałam sobie. Klara jest dlatego tak strasznie podniecona, że go nie widzi, on jej nie zdoła bardziej podniecić, gdy do niej przyjdzie, a prawdopodobnie ją uspokoi. A gdyby umrzeć musiała, naprawdę umrzeć musiała, i nie mogła się z nim przedtem widzieć i pożegnać! A potem powiedziałam sobie, że stary nie ma do niej żadnego prawa, że Rudolf sam ma prawo ją całować. Stary, pomyślałam, to jest śmierć, a Rudolf, to życie. Gdy Rudolf będzie przy niej, stary się nie odważy. A jeżeli stary mimo wszystkiego ma ją posiąść, to nic nie znaczy, jeżeli ona przedtem raz jeszcze nacieszy się wspaniałym wyglądem Rudolfa.

O dwunastej godzinie, gdy nauka się skończyła, pobiegłam do lekarza; rzeczy zostawiłam w szkole; musiałam wyglądać bardzo rozgorączkowana. Przyciągnął mnie do siebie i powiedział, że wiedział już od dawna, że ona nie była do uratowania; jego pomoc była zupełnie bez pożytku, nie powinnam jednak płakać, ona jest przecież teraz u Pana Boga. — Wtedy rzuciły mi się łzy do oczu; wytłumaczyłam, że przyszedłam go się jedynie zapytać. Wtedy rzekł, że jej znów będzie lepiej, ale tak bez wszelkiej nadziei, że już pojęłam wszystko.

Bałam się, aby najstraszniejsze już się nie stało, zanim by ona się z Rudolfem widzieć mogła. Pobiegłam przeto do domu, zastałam jednak Klarę taką jak zawsze, piękną by róża w całej swej wspaniałości, była tylko niezwykle ożywiona. — Puść go do mnie, Leoniu; pozwól mu przyjść do mnie na górę! — Ikała, a wtedy powiedziałam: — Dobrze, dziś wieczorem. — Wtedy zarzuciła mi swe pełne ramiona na szyję i całowała mnie i cisnęła do siebie, jakbym ja była jej Rudolfem. Myślałam podczas tego o tem, co lekarz powiedział, oraz o starym potworze. Nim mnie z swych ramion uwolniła, szeptała mi do ucha: Ale musisz mnie z nim sam na sam pozostawić. — Zgodziłam się, a potem przyszła dozorczyńni z zupą dla Klary i zawołała mnie na obiad do drugiego pokoju.

Podczas tego właśnie, gdyśmy byli jeszcze przy stole, myśl jedna uderzyła mnie nagle, gdyby sztylet. Wczoraj już mi mówiła, że mam ją sam na sam z nim pozostawić. Chociaż jeszcze chodziłam do szkoły, wiedziałam już tyle o świecie, by pojąć, czego chciała. Było mi to gorąco, to zimno. Nie, tłumaczyłam sobie,

tego nie powinnaś czynić. Klara była dotąd porządną dziewczyną, a jeśli to zrobi, już nią nie będzie. A potem pomyślałam o starym, który ją chciał zgwałcić. A potem przyszło mi na myśl, że ona i tak umrzeć musi, nie kochając tak, jak inne kobiety całe życie, jeżeli są zamężne. A potem myślałam, że dobry Bóg jest jednakże bardzo nielitościwy. Przecież dziewczyna stworzoną jest do miłości — a prócz tego jest to moja siostra.

Po obiedzie miałyśmy przygotowanie do konfirmacyi. Przed rozpoczęciem godziny, przechadzałam się po korytarzu z Minną Hermann. Chłopcy, którzy mieli z nami przygotowywanie przystawali i gapili się na nasze nogi. Minna miała wysokie, żółte, sznurowane buciki, a ja nowiutkie półbuciki. Pytała mnie o siostrę, korciło mnie i nękało, by jej coś o tem opowiedzieć. Ale po pierwszych słowach spostrzegłam, że wcale nie pojmowała o co chodzi. Musiałabym jej była wszystko dopiero tłumaczyć, a więc wolałam milczeć.

Podczas godziny objaśnił nam pastor, w którym wszystkie dziewczęta były zakochane, jak to Sadyceusze przyszli do Chrystusa i pytali go, jak będzie, jeżeli ktoś miał siedm żon, którą z nich będzie miał w niebie, i jak on im odpowiedział, że w niebie nie ma ani kobiet, ani mężczyzn, gdyż ta różnica zupełnie zniknie. Wtedy spadł mi ciężar z serca. Jeżeli w niebie nie ma ani mężczyzn ani kobiet, więc ta różnica nic nie znaczy, czy Klara będzie wraz z nim, czy nie. Zamiar mój dojrzał wtedy. I wtedy tak powiedziałam w cichości do Boga, podczas gdy pastor nauczał dalej: Jeśli chcesz, abym Rudolfa do niej nie puściła, to spraw, aby do wieczora lepiej jej było. To uczynić

możesz, jeżeli zechcesz. Do samego wieczora nie pójdę do domu, a jeśli jej choć trochę będzie lepiej, nie puszcę go do niej. Ale jeśli jej lepiej nie będzie, to uczynię to. Ty, drogi Boże, możesz mi zawsze jeszcze przeszkodzić, jeśli tego nie chcesz. Możesz sprawić, że mi cegła spadnie na głowę, lub dopuścisz, że mnie zbójca zamorduje. Chętnie narażę swe życie, chociaż jeszcze jestem tak młodą. Ale gdy nic się z tego nie stanie, widocznem będzie, że inaczej nie chciałeś, bowiem wszystko możesz, czego zechcesz.

Całe południe bawiłam poza miastem na ośnieżonych polach. Byłam i w lesie, a gdy się zbliżałam do „rzymskiego kamienia“ bałam się rzeczywiście, by kto nie rzucił się na mnie z za krzaków i nie zabił mnie. Gdy w miasteczku biła szósta godzina, wróciłam do domu. Klara leżała w łóżku i narzekała na bicie serca. Znow on był, ten stary, powiedziała mi. Odbiła się straszliwa walka. Gdy odchodził, powiedział, że tej nocy ich wesele, a ona odpowiedziała mu: — Tak, z Rudolfem, z Rudolfem, ale nie z tobą!

O godzinie siódmej ojciec wyszedł do restauracyi, a o ósmej odeszła dozorczyńni. Wtedy wyszłam cicho, otworzyłam bez hałasu drzwi i wpuściłam go. Gdy szła za nim na górę po schodach, byłby nikt po mnie nic szczególnego nie zauważył. Ale gdy drzwi otworzyła i wejść mu pozwoiliła, spostrzegłam, że za każdym krokiem, którymi się do łóżka zbliżał, siła mu z nóg uciekała, tak, że skoro się doń zawlókł, upadł przed łóżki. Zamknęłam po cichu drzwi i zeszedłam na dół do kuchni, gdzie zaświeciłam lampę. Rzuciłam się na kolana i błagałam Boga, aby przebaczył Klarze, to co teraz czyni; niech jej za to nie karze

śmiercią, jak to lekarz mówił, niech lepiej mnie się chwyci, chętnie przecierpię wszystko, wszystkie cierpienia, aby tylko Klara żyła, gdyż ja jedynie winna jestem, jeżeli zbłądziła.

Usłyszałam, że bije dziewiąta godzina. Zaraz potem wybiła dziesiąta. Czas biegł tak, że wydawało się, iż minęła chwila. O pół do jedenastej poszłam ze światłem na górę. O mało co nie weszłam do środka, ale zatrzymałam się przy drzwiach. Zapukałam lekko i powiedziałam, że już jest pół do jedenastej. Potem przeszedł kwadrans długi jak wiek. Wstrzymałam oddech; słyszałam tylko pocałunki i westchnienia wewnątrz. Potem znow zapukałam. Zaraz potem wyszedł Rudolf otulony płaszczem, w kapeluszu nasuniętym na czoło. Poświeciłam mu po schodach. Idąc w dół uściśnął mnie, milcząc, za rękę. Potem go wypuściłam.

Ciekawa byłam, jaką znajdzie Klarę. Zdawało mi się, jakby ją otaczał miły zachód słońca, a była tak pełną nadziei, jak nigdy, ile sięgam pamięcią. O śmierci ani słyhu. Mówiła tylko o swem weselu i o tem, że pojedą do Włoch. Jutro będzie mogła już wstać — a potem zaczęła naraz mówić o dawnych czasach, gdyśmy jako dzieci bawiły się razem, a ona mnie nieraz tak maltretowała. A śmiała się, że aż z radości płakała w swem łóżku.

Długo nie mogła się uspokoić. Wreszcie zasnęła. Rano, gdy wstałam, leżała zupełnie spokojnie, a ja postanowiłam jej nie przeszkadzać. Leżała głęboko w poduszkach, a ja stąpałam na palcach i nie zbliżałam się zanadto do jej łóżka, a potem wyszłam po cichu. Na dole powiedziałam, że śpi. Ale gdy weszłam do klasy, przybiegła dozorczyńni i zabrała mnie z sobą.

Gdym do pokoju weszła, stał ojciec i lekarz przy łóżku.

Była martwa.

— — — Zupełna cisza panowała w wielkim hotelu. Nowo upieczony małżonek słuchał wspomnień swej młodej żony ze zmiennemi uczuciami. Potem jednak wytłumaczył sobie, że istota, która mając lat piętnaście, zdolną była uczuciami swemi wchłonąć uczucia otoczenia, jako dojrzała kobieta bardziej jeszcze dobrą będzie. I czuł się szczęśliwym, że posiada przy sobie taki skarb, o spokojnej wyższości, pozbawiony egoizmu i pełen ciepłego oddania się.



Księżna Rusalka.



„Dziwi cię, jak do tego doszło, że zostałam socyalistką i że wyszłam za przewodcę socyalistów?“ rzekła młoda księżna Rusałka do swej przyjaciółki, od niedawna zamężnej baronowej Hohewart. „Przyczyną tego, że moje pierwsze małżeństwo z księciem Galliera było bezdzietnem“.

„Ale czyż to może być powodem?“ zapytała baronowa rumieniąc się.

„Zapewne wpłynęły na to moje lata dziecinne“ rzekła księżna. „To nie da się tak łatwo odpowiedzieć... Jako dziecko byłam bardzo przejęta moją osobistą godnością. Nie znałam niczego wyższego na świecie od siebie samej. W zwierciadle przyglądałam się sobie, gdyby jakiej świętości. Byłam przytem wesoła i szalenie śmiała, ale w niektórych sprawach nie znosiłam żartów. Moja wewnętrzna duma zrywała się przeciwko temu tak, jak rasowy koń staje dęba na widok obrzydliwego zwierzęcia. Gdy moja siostra Amelia pewnego wieczora zaczęła ze mną o tem mówić, jak my ludzie powstajemy, chciałam ją niemal udusić. Byłam bardzo wierząca i zabawiałam się nieraz in persona godzinami z Panem Bogiem. Byłam niezachwianie przekonaną, że Pan Bóg mnie stworzył. Wytłumaczyłam sobie, że postępowanie ludzi jest zupełnie bezdusznem. — Amelia i ja wzrastałyśmy na zamku

Schwarzenek w Czechach, odcięte od całego świata. Nie miałyśmy nikogo koło siebie, z wyjątkiem wyschniętego marszałka dworu i zlodowaciałej guwernantki. Nie pojmuję w jaki sposób Amelia zasięgnęła swoich wiadomości. Była wprawdzie dwa lata starsza odemnie, otyła, flegmatyczna i leniwa. Pewnego znów wieczora opowiadała mi, że córka młynarza na wsi miała dziecko. Byłam oburzona. Powiedziałam jej, że to niemożliwe. Nasi rodzice wzięli ślub przed ołtarzem; dlatego Pan Bóg dawał im dzieci, ale wcale nie dlatego, że w pierwszych latach małżeństwa żyli razem. Niema w tem nic innego, prócz tego tylko, że Amelia chce mnie pozbawić wiary w niebo. Wśród nocy modliłam się do Boga, aby mnie utwierdził w tem, że ja mam słusność a nie Amelia; i wyraźnie słyszałam głos wewnętrzny: Masz słusność Rusalko; masz zupełną słusność. — A gdy moja siostra w kilka dni później rozpoczęła na nowo swe przyrodnicze wyjaśnienia, poprzysięgam na Boga, na siebie i na wszystko, że jej udowodnię, że niema dzieci bez ślubu. Amelia śmiała się, ale ja byłam tak pewną swego przeświadczenia, czułam taki żar apostołstwa w duszy, że dzień i noc oczekiwałam sposobności udowodnienia jej tego.

Około Wielkanocy przyjechał ojciec z Wiednia na polowanie. Tej zimy przywiózł ze sobą księcia Gallierę. Już pierwszego dnia obrałam go za swego kawalera. Miał dwadzieścia ośm lat, był bardzo obyty i taktowny, i ułatwiał mi mój szalony zamiar na wszelkie możliwe sposoby. Amelia, z jednym poręcznikiem z Budapesztu, trzymała się nas zawsze blisko. Po trzech dniach stało się nieszczęście. Powiedziałam

to jej tego samego wieczoru. Zbladła śmiertelnie i zemdląła. Potem płakała i lkała przez całą noc, biła się w piersi i rwała sobie włosy, tak, że całej siły duchowej mej użyć musiałam, by ją pocieszyć. Naturalnie nic to nie pomogło, ale ja trwałam tak silnie przy mojem przekonaniu, że w końcu, gdyby przed jakąś wyższą istotą, ugięła się i kolana moje obejmowała.

Po nowym roku dzicy łowcy odjechali. Księcia, mając Amelię za świadka, nie zaszczycałam nawet jednym spojrzeniem. Był, co łatwem do zrozumienia, dziwnie pokornym.

Potem przyszła wiosna, czasem jednak było mi tęskno. Prosiłam Boga, aby nie zachwiał mej w Niego wiary. Zawsze gdy o Wielkanocy i o księciu myślałam miewałam wątpliwości, ale nie miałam do tego najmniejszego powodu. Wreszcie, było to pewnego wrześnieowego wieczoru w altance, powiedziałam mej siostrze: Teraz na przyszłość daj mi spokój z swemi zapatrywaniem. Odtąd nie mówiła mi ani słowa więcej o tych sprawach. Uznała mą wyższość, objęła za szyję i całowała.

Ale na Wielkanoc, gdy księżę znów z ojcem przybył na polowanie, owładły mną zupełnie inne uczucia, których dotąd nie znałam. Raz ojciec zaszedł nas, i księżę poprosił o moją rękę.

Miodowe miesiące przepędziliśmy w Neapolu. Byłam bardzo, bardzo szczęśliwą. Potem udaliśmy się do zamku Egersdorf na Morawach, by odcięci od świata żyć, naszym szczęściem, jak długo zapagniemy. Tęskniłam za dzieckiem, tak jak tylko młoda kobieta za niem tęsknić zdoła. Nie mogłam nawet pomyśleć,

że teraz ta rozkosz nie będzie mi daną. W ciągu pierwszego roku mówiłam o tem codziennie, jak o czemś, co tak koniecznie nadejść musi, jak zima lub wiosna. Modliłam się nocami, klęczałam i przysięgałam Bogu wśród gorących łez, że raczej niech mi zesle śmierć, aniżeli odmówi naszemu małżeństwu błogosławieństwa. Nie było nic. Wtedy księżę począł dziwnie jakoś na mnie spoglądać. Zauważyłam, że jego miłość oziębia się. Nudziliśmy się.

Wtem przyjechała do nas w odwiedziny moja kuzynka, hrabina Telecky z Wiednia. Księżciu wydała się obrzydliwą, ale dla mnie była całym mym światem. Czytała wszystko, wszystko, co w Europie napisano: Nietschego, Ibsena, Tołstoja, Zolę, Dostojewskiego, Sudermanna — była to prawdziwa wypożyczalnia książek. W przeciągu sześciu miesięcy zrobiła ze mnie tak fanatyczną ateistkę, jak dotąd byłam wierzącą katoliczką. A gdy już ani śladu, ani żdźbła wiary, ani pewności w sobie nie miałam, gdy wszystko straciłam, coby mnie w nieszczęściu wielkiem właśnie mogło podtrzymać, dowiedziałam się, że przez ten czas pozyskała dla siebie mego męża, i że już dziecko jego pod sercem nosi.

Bezprzymną odwieziono mnie do Wiednia. Kilka tygodni leżałam w gorączce. Po wyzdrowieniu pojechałam do ojca, aby go prosić, by zajął się mym rozwodem. Przy słowie „rozwód“ pokazał mi drogę, którą przyszedłam. Wtedy pojechałam do Berlina, by tu się zwrócić do jakiegoś adwokata. Poznałam jednak od pierwszej chwili do jakiego dostałam się środowiska; wszyscy byli tego rodzaju, co Telecky. Wydawałam się sobie jako zabytek ze średnich wieków, który na

niewidocznem miejscu przypadkiem pozostał nienaruszony. Duszę mą ogarnął zapał do wszystkiego, co modern. Obciąłam swoje piękne włosy, nie nosiłam więcej gorsetu, byłam w męskim ubraniu na balu artystek i pisałam o kwestyi kobiecej. Zanim rok minął, występowałam już na publicznych zgromadzeniach.

Na premierze „Heddy Gabler“ poznałam Dra Rappaporta. W kilka dni później słyszałam go przemawiającego na zgromadzeniu socjalistycznym. Potem odwiedził mnie. Jego pierwsze słowa były serdecznem przyznaniem się, że uznaje kobiecość, która jest we mnie, i wysokie posłannictwo, jakie jest udziałem kobiety uszczęśliwiającej mężczyznę. Powiedział, że działam przeciw mej naturze. To może być dobrem dla innych, ale nie dla mnie. Z początku stałam w obronie służby w naszej sprawie, ale on mnie przejrzał tak dokładnie, że siedziałam naprzeciw niego jak dziecko, któremu się czegoś zakazuje. Podczas trzeciej wizyty prosił mnie bym została jego żoną. Dałam mu kosza, chociaż go bardzo pokochałam. Gdziekolwiek poszłam mówiono mi o nim, cały Berlin marzył o nim, o trybunie ludu, przyszłym kierownikowi państwa. Podczas jednej uroczystości widziałam jak go lud „pod lipami“ witał tysięcznymi głosy radości. Słyszałam robotników mówiących, że dla tego człowieka najdroższym był lud nadewszystko, że to było jego wysokie posłannictwo — ale ja wiedziałam, co mu oprócz tego było najdroższem. Ale nie miałam odwagi, czułam się wykluczoną z uczestniczenia w szczęściu ludzkim, gdyż powątpiewałam, czy jakiemu mężczyźnie będę mogła dać dzieci.

Potem przyszły najstraszniejsze dni, jakie przeżyłam. Postanowiłam umrzeć, i użyłam morfiny. Odwieziono mnie na klinikę. Gdy przyszedłam do siebie, krzyczałam i rozpaczałam, że zamiar mój się nie powiódł. A wtedy stał on obok mnie i nachylił się nademną. Lekarze zostawili nas sam na sam, i wtedy — wtedy znikła moja siła, płakałam, płakałam na jego piersi, i opowiedziałam mu wszystko.

Przysięgam mu, że odjadę, ale on nie pozostawił mnie ani dnia samą. Opowiadał mi rzeczy, w które sam nie wierzył, aby tylko mnie pocieszyć. I w końcu... poznałam, że jeżeli jeszcze gdzie jest szczęście dla mnie na świecie, to przy nim — wtedy objąłem go za szyję i pozwoliłam mu się całować, czując się bezgranicznie niewartą tego.

Pobraliśmy się; pozwolił na to, żeśmy wzięli i kościelny ślub. Rozumiałam go bardzo dobrze, ale nie mówiłam ani słówka o tem. A teraz....“

Księżna powstała szybko, wyszła do przyległego pokoju i przyniosła żwawego, małego, błękitnookiego socyalistę z kołyski. Na młodą baronową spoglądał on bardzo poważnym wzrokiem.

„Teraz pomyśl o naszym szczęściu.“

Baronowa uśmiechnęła się: „Mnie mały baron byłby jednak daleko miłszym — a choćby nawet i baronówna.“



Jagnię ofiarne.



„Nie, proszę cię, nie pytaj mnie, jak się tu dostałam. Co cię to obchodzi? Jutro śmiać się będziesz z tego, widzę to po tobie. Po co masz mnie do płaczu doprowadzać. Daleko mi piękniej z tem, gdy jestem wesoła.“---

I wysmukła, biała jak śnieg, pięknie zbudowana Monachijka, z gęstemi, bujnemi, kruczemi włosami pochyliła się drząc nad nim i ucałowała go w usta, i w pół przymknięte powieki, aby tylko zapomniał o swem zapytaniu. Ale to jej nie pomogło. Grymas wykrzywił mu twarz, że aż mróz przeszedł po jej wszystkich członkach. Bronił się przed jej pieszczotami, odepchnął ją od siebie. W ten sposób uczynił ją zupełnie bezradną, bo jej piękność ciała, była wszystkim, co ona swą własnością nazwać mogła. Nie był on bowiem człowiekiem o gwałtownej namiętności, ale smakoszem dla którego przyroda i Bóg niczego dość dobrze nie stworzyli. Do wszystkiego musiał dodać nieco pieprzyku. Już w młodości poznał on uciechy życia i pogardzał w głębi duszy tem wszystkim, co dla innych śmiertelnych było przykazaniem. I dlatego nie wystarczało mu to, że to z człowieczej czci odarte, piękne dziewczę zwyczajnie, bez przesądu, z lekkim sercem grzeszy, podczas gdy on ulega żądzy. Musiał jej najpierw dać poznać co czyni, aby potem zwrócić się

do ramion tej cicho bolejącej, upadłej duszy. Dlatego nie dał się ani słowami, ani spojrzemiami skłonić do uśmiechu, udał poważnego jak kaznodzieja, i zapytał jej właśnie dlatego, czy jej tu głód nie przypędził.

„Nie, nie. Miałam zawsze co jeść odtąd pamiętam. U nas trzy razy na tydzień było mięso.“

Właśnie tego się spodziewał. Kto ją widział, nie mógł przypuścić, by kiedykolwiek mogła być głód cierpieć.

„Ale miewałaś ciężkie, złe sny, trapiące cię? — Przyszędłaś tu, by używać swej młodości?“

„Na Boga, nie. Nie pytaj mnie więcej. Czy mieszkaś tu w Zürichu, czyś tylko w przejeździe?“

„W przejeździe. — Czy twoi rodzice żyją jeszcze?“

„Tak. Ale nie wiedzą, gdzie jestem.“

„I tego, żeś w Zurichu?“

„Nie. Nic o mnie nie wiedzą.“

„Jakże się nazywasz?“

„Marta.“

„Marta? Tak, tak. Pewno. Dziś jest niejedna Marta na bożym świecie. Wiedziałem już o tem, że na imię ci Marta.“

„Trzeba tylko napisać: „Marta“, jeżeli zechcesz do mnie napisać. Możesz być pewnym, że list dostanę. Wszyscy moi przyjaciele piszą do mnie: „Marta.“

„A twoje nazwisko?“

„Tego nie powiem, choćbyś mi nóż do gardła przyłożył. Raczej dam się zabić, zanim bym tu wymówiła nazwisko ojca.“

„Jakżeś tu przyszła?“

„To ci opowiem innym razem. Tylko nie dziś. Proszę cię.“

„Zapewne było dużo w domu roboty? Musiałaś wcześniej wstawać i schody zamiatać.“

„Pracowałam zawsze z ochotą.“

„Naprawdę — to taka dla ciebie przyjemność. Tu jednakże daleko ci wygodniej.“

„O, pocóż to mówisz! — Powiem ci, co mnie tu przypędziło. Myślę, że ulitujesz się nademną. Inni mężczyźni chcą słuchać samych tłustych rzeczy, i zamykają usta tej, które im nie pochlebia. Nie mówiłam, jak Boga kocham, o tem nikomu — a jednak myślę dzień i noc o tem tylko. Co mnie pociesza, że tu prędko będzie ze mną koniec. Potem będzie po wszystkim.“

„Czyż nie wierzysz w niebo?“

„Może tam jest jakieś dla bogatych i dla dobrych ludzi, ale nie dla podobnych mnie. Tocy przecież było straszne!“

I młoda dziewczyna popatrzyła mu jeszcze raz głęboko w oczy, nie była bowiem pewną, czy nie drwi z jej szczerości. Potem zgasła światło i opowiadała:

„Miałam czternaście lat, gdy matka oddała mnie do interesu. Nie miałam jeszcze żadnej figury, a oczy miałam duże jak cielę. Było nas cztery panienki: Resia, Cylia, Kati i ja. Już w poniedziałek rano liczyłyśmy zawsze, ile jeszcze brakuje dni do niedzieli. W niedzielę po obiedzie odwiedzałyśmy się wzajemnie, piłyśmy kawę, a potem szłyśmy na przechadzkę do angielskiego ogrodu. Czy znasz ogród angielski w Monachium?“

„Tak, tak. Ślizgałem się tam nieraz z moją małą.“

„Tego nie należało mi mówić teraz właśnie.“

„Ale o czym mówiliście, gdyście tak szły we cztery na przechadzkę?“

„Najwięcej o przełożonej. Była tak sprytna, żeśmy ją uważały za jakąś wyższą istotę. Gdy jaka dama po raz pierwszy do interesu przychodziła, popatrzyła tylko raz na nią, i odcinała zaraz części stanika bez błędu na kolanie. Zdawało się, że rysuje nożycami.“

„Prócz tego nie mówiliście o niczem innym?“

„Dlaczego? Przecież. Każda opowiadała o swoim domu. Cylią miała braciszka, któremu szyła ubrania. Chodził jeszcze do szkoły. Nieraz pomagała mu przy zadaniach. Nie pojmiesz, jak dumną była z tego powodu. Teraz, gdy jestem sama, często myślę sobie: gdybym tak ja miała była dziecko — i wtedy przychodzi mi zawsze na myśl nasz mały Jasio. Był tak śliczny.“

„Tylko nie płacz.“

„Ja nie z tego powodu płaczę. Przypominam sobie tylko, jak ja się tego bałam, a teraz tobym się tak cieszyła, miałabym przecież coś z tego.“

„Tybyś jeszcze zepsuła dziecko!“

„Tak, słusznie. Rozpieściłabym je. Kochałabym je strasznie. Byłoby mu lepiej, aniżeli wszystkim innym dzieciom.“

„Więc kochasz go jeszcze?“

„Tak. Ty jesteś dobry. Tobie mogę wszystko powiedzieć.“

„W jaki sposób poznałaś go.“

„Było to w zimie, wieczorem o dziewiątej. Byłam już trzy lata w interesie. Nosiłam już długie

sukienki, a kiedym szła ulicą, bez kapelusza i bez fartuszka, mężczyźni oblizywali się. Śmiałam się z tego, uważając to za pochlebstwo, nie myśląc przy tem o niczem innym. Wtem, pewnego wieczora, dała mi przełożona do odniesienia suknię do baronowej Ubra, mieszkającej przy Szwabskiej ulicy. Chciałam jechać tramwajem, ale były zajęte. Powstała taka burza, że cegły wyrывała z kominów. Było przy tem bardzo zimno. Wszyscy ubrani byli w płaszcze i kapuzy, a ja byłam tylko w żakiecie z dużymi guzikami i w kapeluszu z piórami, który musiałam trzymać, aby mi go wiatr nie zerwał. Już na Teatynskiej ulicy, pomyślałam sobie: bodaj bym się była nie urodziła. Nie czułam ani rąk ani nóg, i co krok zataczałam się. Raz zataczyłam się na latarnię i złamał mi się parasol. Wiatr potargał go na strzępy. Śnieg sypał mi się za kołnierz i na szyję. Byłam z wierzchu i wewnątrz mokra, jak pies w czasie ulewy. Przed Aleą Wodzów urwał mi się rzemień, za który niosłam pudło, i suknia wpadła mi do śniegu. Byłabym chętnie umarła w tej chwili. Podniosłam suknię i śnieg z papieru starłam chustą do nosa, aby nie wsiąkł w materję. Potem starałam się wiaść pudło pod pachę. Wtem uderzył wiatr i podniósł mi spodnicę powyżej kolan. Boże, Boże — pomyślałam — czy też przynajmniej nikt tego nie widział.

Wkrótce potem przybliżył się jakiś pan i zapytał, czy może mi nieść pudło. Powiedziałam: „tak.“

Poszliśmy razem na ulicę Szwabską, a potem towarzyszył mi z powrotem na ulicę Sendlingera, do naszego domu. Opowiedział mi, że jest w pewnym interesie i że ze swej pensji utrzymuje sześćdziesię-

cioletnią matkę. Powiedziałam mu, gdzie pracuję. Nie przypatrywałam mu się wcale i byłabym nigdy go w życiu nie poznała.

Następnego wieczora, gdy z interesu wychodziłam zjawił się znów przy mnie, skorom się tylko z innemi pożegnała. Ponieważ był uprzedzająco grzeczny, nie mogłam go odpędzić. I tak szło dalej. Co wieczora towarzyszył mi aż do drzwi domu i opowiadał jak to kocha swą matkę i jak jest dobrym dla niej. A gdy wiosna nadeszła, powiedział mi pewnego wieczora, że mnie kocha. Nie wierzyłam mu z początku. Ale przez cały miesiąc nie mówił o niczem innem, a potem zapytał mnie raz, czy ja go kocham. Powiedziałam, że tak.

To było najokropniejsze; od tego dnia począwszy nie był on już ten sam. Przedtem był zawsze taki miły i dobry; teraz to wszystko przepadło. Utrzymywał, że to nieprawda, że go kocham. Powiedziałam: Zaklinam się na zbawienie duszy! I nie było inaczej. Przez cały dzień w interesie myślałam tylko o nim, jakim będzie, gdy się zobaczymy. Ale wyraz twarzy jego zmienił się. Zwracał oczy w dół, jakby połknął muchę, i przez całą drogą, bywało nie wymówił ani słówka. Przedtem całował mnie na pożegnanie. Teraz i tego nie było. Prosiłam go o to, ale nie chciał. Przezywał mnie kokietką. Byłam tem przestraszona; nie wiedziałam, co to znaczy. Z początku nie mogłam sobie tego słowa zapamiętać. Potem zapisałam je i zapytałam Cylii, a Cylija wyjaśniła mi, że to są dziewczęta, które po ulicy chodzą.

Matka zapytała mnie, dlaczego tak źle wyglądam, dlaczego nie jem i nie otwieram ust. Ale nie mogłam

nic powiedzieć. Postanowiłam, nie prędzej powiedzieć o nim w domu, aż się zaręczymy; a do tego nie wystarczyła jeszcze jego pensya. Musieliśmy czekać, aż umrze jego matka. Ale gdy pewnego razu na rynku pokazał mi plecy i odszedł z rękami w kieszeniach, wtedy pobiegłam za nim i rzuciłam się mu na szyję; Kocham cię przecież — powiedziałam — musisz to czuć. Bądź znów takim jak przedtem; nie powinienieś mnie tak strasznie dręczyć. — Wtedy zamruczał: Udowodnij mi, że mnie kochasz. Zapytałam go, jak mam to udowodnić; a on zamruczał, że wiem o tem dobrze, nie jestem przecież dzieckiem. Ale ja jestem tylko kokietką, bawię się nim; jemu jednak dość już tego, nie chce bym go dłużej uważała za błazna.

Przez całą noc nie mogłam zasnąć i myślałam o tem, czego on właściwie chce, i dlaczego jestem wobec niego niewdzięczną. Wreszcie postanowiłam się zapytać Cylii, ponieważ sam mi tego powiedzieć nie chciał. Ale nie chciałam opowiadać Cylii tej całej historii. Nikt na świecie nie zauważył, że się znamy, więc chciałam, aby tak było, aż do zaręczyn. Opowiadał mi o matce, że nieraz było z nią bardzo źle; ale potem znów się jej polepszało.

Po obiedzie zapytałam się Cylii, gdy szła obok mnie, czy już kochała. Namysliła się chwilę, i powiedziała, że tak. Zapytałam jej, co wtedy robiła. Powiedziała, że wzięła gorącą kąpiel nożną. Czy jej potem było dobrze? Powiedziała, że tak. A czy oprócz tego co robiła? — Nie, to było wszystko. — Chętnie chciałam się jeszcze czegoś o jej miłości dowiedzieć, ale zaśmiała się i powiedziała, że to są jej sprawy osobiste.

Wieczorem powiedziałam mu, gdy mi towarzyszył, że już wiem; Cylia mi powiedziała, musi tylko do jutra zaczekać, A więc jutro! — rzekł i pocałował mnie u drzwi domu. Był tak miłym, jakim nie był już od kilku tygodni. Przez cały wieczór drżałam, aby matka nie domyśliła się, że chcę brać nożną kąpiel. Bałam się tak! Gdy poszła spać, wśliznęłam się w koszuli do kuchni. Zapaliłam ogień pod poleniskiem. Naczerpałam po cichu cały baniak ciepłej wody i stałęm w niej. Wtedy mi było, jak nigdy dotąd. Nie uwierzysz, że drżałam i trzęsłam się z uciechy i myślałam przy tem jedynie o nim, co powie, gdy ujrzy mnie tak zmienioną. Zapelzłam do mego łóżka i spałam tak słodko, jak nigdy w życiu. Następnego wieczora było bardzo źle. Najpierw rzuciliśmy się sobie w ramiona i całowaliśmy się; potem chciał, żebym z nim poszła, ale powiedziałam, że wie przecież, że muszę iść do domu. Wtedy nazwał mnie głupiem bydłkiem.

To spowodowało, że w niedzielę poszłam do wróżki. Chciałam jej o naszej miłości tylko tyle co Cylii opowiedzieć, ale po pięciu minutach wiedziała wszystko. A potem powiedziała, że muszę właśnie pójść z nim i niczego mu nie zabraniać, aby wiedział, że go kocham. Zapytałam jej, ile to kosztuje — a ona mnie zapytała, ile mam przy sobie. Powiedziałam: dwanaście marek i piętnaście fenigów. Dobrze, rzekła, zwykle dostaję dwadzieścia, ale i tem się zadowolnię. A potem na późnej polecila się mi.

Następnej nocy położyłam się w ubraniu do łóżka. Zzułam tylko buciki. Gdy wybiła jedenasta, zeszedłam po schodach na dół. Objął mnie i całował

przed domem i zaprowadził do swego mieszkania. W godzinę potem odprowadził mnie do domu; ale, klnę się na Boga, nie mogłam pojąć, dlaczego był tak szczęśliwym. Tłumaczyłam sobie, że musi coś być niezwykłego w miłości, jeżeli komuś tak to dobrze robi, gdy się przekona, że go dziewczyna rzeczywiście kocha.

A potem zostałam jego kochanką. Już pierwszego tygodnia rzekł: Jeżeli mnie naprawdę kochasz, nie możesz dłużej mieszkać przy rodzicach. Gdy mnie parobcy od rzeźnika złapią na podwórzu, zabiją mnie. — Zabrałam w nocy moje rzeczy, a na drugi dzień w interesie powiedziałam, że mnie głowa boli, wyszedłam i wyszukałam sobie pokój z łóżkiem i meblami. Wieczorem nie poszedłam do domu. W niedzielę przyszedł mój ojciec. Spytał mnie, czy pracuję jeszcze w interesie. Powiedziałam, że tak. Potem zapytał mnie kto jest moim kochankiem. Powiedziałam: „Tego nie powiem. Możesz mnie bić, ile chcesz. Nie powiem.“ Powiedział, że zawoła policyi. Powiedziałam, że nie boję się policyi, nie boję się całego miasta. Wtedy opadł na łóżko i płakał i drżał; myślałam, że wypłacze całą duszę. Potem wstał, popatrzył mi prosto w oczy, uderzył z całej siły w twarz i odszedł. Nie widziałam go odtąd nigdy.

Mój kochanek przychodził do mnie co wieczora. Z jego matką było bardzo źle, dlatego wypowiedział swoje mieszkanie. Potrzebował pieniędzy na lekarstwa i lekarza. Czasem, gdy mu nie wystarczało, dawałam mu także z moich pieniędzy, ale nie wiele mi zostawało, bo musiałam przygotować kolację na dwoje. Z początku chciał mnie przedstawić swjej matce; ale

potem nie można było. Obawiał się, że radość i wzruszenie zabiły by ją.

Raz w interesie, gdy przełożonej nie było, rozmawiały Resia i Cylia o dziewczynie, która miała dziecko. Zapytałam, czy nie była zameźna. Powiedziały, że nie. Wtedy zdjął mnie okropny strach. Nigdy w życiu nie przypuszczała, że można mieć dziecko, nie będąc mężatką. Gdy mu to powiedziałam, nazwał mnie głupią gęsią, czegoś podobnego wcale się nie obawiał. Ale ja nie miałam od tego dnia, ani jednej spokojnej chwili.

A potem wysłał go jego pryncypał do Zurichu. Gdyśmy razem w przedziale siedzieli, wsiadła jakaś dziewczyna. Z początku usiadła w przeciwnym kącie, ale gdy zobaczyła mego kochanka, rzuciła nań wzrokiem, który jak rakietą wypadł z jej oczu, a potem usiadła wprost naprzeciw niego. Opowiadała, że jedzie przyjmując obowiązek kelnerki. Była tak sznurowana, że brakowało jej oddechu. Przytem nie mogła siedzieć spokojnie i wachlowła się chusteczką, woniejącą jak jaka menażerya. Zamieniała spojrzenia z moim kochankiem, które musiały mówić o najwspanialszych rzeczach, ale ja tego nie rozumiałam. Czasem rzucała okiem i na mnie, a wtedy wstydziałam się śmiertelnie. Miałam na sobie suknię, której barwy trudno się było domyśleć, do tego szary szalik na głowie, a nogi schowałam pod ławkę, gdyż trzewiki były z przodu podarte. Ona zaś miała nowiutkie jasno żółte buciki ze złotymi guzikami. Jej suknia była tak wązko skrojona, że rysowały się jej kolana. Na nich trzymała pudełko pralinek i flaszkę wiśniowego soku. Mnie poczęstowała także. Nie chciałam, ale kochanek mój

powiedział, że nie należy się wstydzić i odmawiać. Tuż przed Lindau, gdy lokomotywa nagle się zatrzymała, gdyż oś się zapaliła, padła mu prawie w ramiona.

Na parowcu dostałam morskiej choroby, i tak przybyliśmy do Zurichu, lecz jak tego nie wiem.

Drugiego już dnia poszedł z nią wieczorem na koncert, i nie wrócił przez całą noc do domu. Rano wyszedłam, by go znaleźć, a gdy wróciłam nie było jego rzeczy. Wtedy przeszukałam całe miasto. Na każdym rogu ulicy spodziewałam się, że go zobaczę. Wreszcie znalazłam go na jakiejś ławce nad brzegiem. Rzekłam, by szedł ze mną. Odpowiedział, że nie może, że nie powinniśmy razem mieszkać w Zurichu. Tego nie ścierpi policya. Zamknięto by nas, gdybyśmy tak razem mieszkali bez ślubu. Ale będzie mnie odwiedzał, ile razy będzie mógł.

Podczas dwu tygodni znalazł na to czas trzy razy. Wzięłam sobie robotę w jednym handlu płótna i siedziałam cały dzień w domu i szyłam. Gdy przyszedł po raz trzeci, zapytałam go, gdzie właściwie mieszka, ale tego nie chciał mi powiedzieć. I tak wykręcał się znów kilka razy, gdyż przypuszczał, że gdy go znajdę, natenczas nie wrócę sama do domu.

Pewnego wieczora, około jedenastej, wysłodziłam go, jak wychodził z pewnej podrzędnej restauracyi. Zapytałam patrząc mu w oczy: „Żyjesz z kelnerką?“ A on rzekł: „To cię nie obchodzi.“ Wtedy go zapytałam: „Czy już mnie nie kochasz?“ — A wtedy on mi odpowiedział: „Jakże mogę cię jeszcze kochać, jeżeli do ciebie nie przychodzę.“ — Z początku go nie rozumiałam. „Co mówisz?“ zapytałam. Wtedy mi powtórzył: „Jakże mogę cię kochać, jeżeli nie jesteśmy już razem!“

Zrobiło mi się zielono i niebiesko przed oczyma. Przycisnęłam ręce do piersi i popędziłam przed siebie. Musiałam najpierw pomyśleć nad tem. Co rozumiał on pod miłością, że nie może mnie już kochać, skoro nie mieszkamy razem. Ja go kochałam jednak, wiedziałam o tem. Czułam i myślałam tak, jak gdybym już wcale nie żyła na świecie, jakby ani jego, ani nikogo już nie było. Kochałam go, i kocham go dotąd jeszcze; byłabym całe życie pracowała dla niego; a on nie mógł mnie kochać, bo nie mieszkaliśmy razem. Nie byłam już głupiem dzieckiem. Czułam i ja, że jest coś słodkiego w tem, gdy się jest razem. A wtedy przyszło mi naraz na myśl, że on od początku niczego innego nigdy nie pragnął. Wtedy pobiegłam do jeziora i chciałam się utopić. Ale to było za mało dla mnie. Czułam taki straszny ból w piersi, że woda wydała mi się za dobrą, za przyjacielską. Biegłam ulicami i myślałam, gdyby tak kto nadszedł i znieważył mnie, tak aby mnie zmysłów pozbawił. Czułam, że gdyby kto po mnie deptał, złagodził by mój ból. Musiałam zbeszcześcić się, tak bardzo, tak bardzo, jak to tylko możliwe, wtedy bym nie czuła szponów, które rozrywały mi serce.

Długo myślałam. Jakiś pan przechodził i pogłaskał mnie po włosach. Byłabym zapewne poszła z nim. Ale wydał mi się za łagodny, był mi za dostojny. Miał rękawiczki glacie i szedł przedemną, jak ten, który chce mnie ratować. Nie, nie; muszę w dół, gdzie się niczego nie wie, i niczego nie słyszy. Powiedziałam sobie, że muszę się tak spodlić, bym mej zgryzoty już więcej czuć nie mogła.

Kochanek opowiadał mi, że są w Zurichu kobiety, które sprzedają młode dziewczęta i wysysają je do ostatniej kropli krwi. Zapytałam policyanta, który mnie ujrzał siedzącą na rogu ulicy, gdzie mieszka taka kobieta. Zapytał mnie, czy już przedtem tam byłam. Powiedziałam, że tak. Wtedy wziął mnie za ramię i zaprowadził na strażnicę. Tam siedział jakiś pan o czerwonej twarzy, z czarnym wąsem i błękitnymi okularami i znów mnie zapytał, czy byłam już u takiej kobiety. A ja powiedziałam znów, że tak. Wtedy mnie zapytał, gdzie to było, wtedy mu wskazałam palcem w jakąś stronę: jestem tu obca, dziś po raz pierwszy wyszedłam i nie mogę trafić z powrotem. Wtedy dał mi dwu policyantów i ci mnie tu przystawili. Tak się tu dostałam...“

„Ale czy nie żyje się tu całkiem ślicznie?“

„Z początku madame była ze mnie niezadowolona, że ciągle jestem smutna. Ale gdy spostrzegła, że najobrzydliwsi z naszych panów do mnie zawsze idą, a ja żadnemu nigdy nie odmawiam, odtąd lubi mnie bardzo, tak jak wesołą Palmirę, która tu jest ze mną...“ — — —

Na drugi dzień była niedziela, gdy młody człowiek znalazł się na świeżem powietrzu. Dzwony rozbrzmiewały; mężczyźni, kobiety i dzieci wychodzili z kościoła. Młody człowiek byłby chętnie zażartował z tego z głębi duszy, ale nie mógł się na to zdobyć. Nigdy nie wydał się sobie tak marnym; nigdy jednakże nie wydał się sobie tak dobrym. Nie poznawał siebie. Porównywał beztroskliwy, słoneczny nastrój wychodzących z kościoła, którzy radośnie wysłuchali swego kaznodziei i teraz cieszyli się myśląc o dobrym obiedzie,

z powagą swej własnej duszy, i przyszedł do wniosku, bez iskry kokieterii lub roztargnienia, że im nie zazdrości. Teraz było mu, jakby sam słuchał kaznodziei. Nauczył się wierzyć w niewinność tam, gdzie się tego najmniej spodziewał. Musiał sam sobą pogardzać, gdy pomyślał o dziewczynie. Nigdy niczego złego nie chciała, a wyciągnęła czarną gałkę. Nie prosił niczego dobrego przez całe życie, ale nie był jeszcze zupełnie zgubionym. Czuł to. A wrażenie tej nocy pozostało mu na całe życie.



Środek ochronny.



Jeśli wam, mili przyjaciele, opowiadam tę historijkę, to nie czynię tego wcale dlatego, by podać nowy przykład przewrotności kobiety, lub głupoty mężczyzny; opowiadam ją raczej dlatego, że zawiera w sobie psychologiczne nadzwyczajności, które i was, i każdego zając mogą, i z których rozważania człowiek rozsądny wielką życiową korzyść odnieść może. Przedewszystkiem pragnąłbym obalić zarzut, jakobyem chwalił się moimi grzechami przeszłości, lub lekko-myślnością, której teraz z głębi duszy żałuję, i do hołdowania której teraz, gdy mam siwe włosy i kolana mi drżą, ani ochoty, ani zdolności nie posiadam...

— „Nie potrzebujesz się niczego obawiać, mój drogi, słodki chłopcze“ — rzekła do mnie Fanny pewnego pięknego wieczoru, gdy jej mąż właśnie do domu był powrócił — „albowiem mężowie są ponajwiększej części tylko tak długo zazdrośni, jak długo nie mają do tego powodu. Z chwilą, gdy powód istnieje, porażani bywają nieuleczalną ślepotą.“

„Nie wierzę wyrazowi jego twarzy“ — opowiedziałem szeptem — „Zdaje mi się, że już coś zauważył“.

„Wyrazu jego twarzy nie rozumiesz, mój kochany chłopcze“ — odpowiedziała — „Jego wyraz twarzy jest jedynie wynikiem wynalezionej przezemnie środka,

którego użyłam, aby go raz na zawsze pozbawić wszelkiej zazdrości, i aby go zabezpieczyć, by nie powziął względem ciebie jakiegoś niepokojącego podejrzenia“.

— „Coż to za środek?“ — zapytałem zdziwiony.

— „Jest to rodzaj środka ochronnego. — Tego samego dnia skorom się zdecydowała, uczynić cię kochankiem, powiedziałam mu otwarcie i wprost w oczy, że cię kocham. Od tego czasu powtarzam mu tak dzień w dzień, przy budzeniu się i przy udawaniu na spoczynek: Miałbyś zupełną słuszość być zazdrosnym o tego miłego chłopca; lubię go z całego serca, i nie jest to ani twoją ani moją zasługą, że nie zbłądziłam dotąd, zależy to jedynie od niego samego. I dlatego jestem ci dotąd wierną“.

W tej chwili pojąłem, dlaczego jej mąż, pomimo całej swej uprzejmości, nieraz, gdy sądził, że tego nie spostrzegam, spoglądał na mnie z jakimś, jemu tylko właściwym, litościwie pogardliwym uśmieszkiem.

„I przekonana jesteś na prawdę, że ten środek zachowa swą skuteczność na dłużej?“ — zapytałem rozweselony.

„Niezawodnie!“ — odpowiedziała z pewnością astronoma.

Pomimo tego wątpiłem bardzo w nieomylność jej psychologicznych wyrachowań. aż do chwili, gdy pewnego dnia taki wypadek w sposób zdumiewający to potwierdził.

Mieszkałem wówczas w śródmieściu, w wązkiej ulicy, w małym, umeblowanym pokoiku czynszowego domu i zwykle sypiałem do białego dnia.

Pewnego słonecznego poranku około godziny dziewiątej otwierają się drzwi i... ona wchodzi. Co potem nastąpiło, nie opowiedziałbym nigdy, gdyby to nie spowodowało niespodziewanego, a jednak pojąć się dającego zaślepienia, możliwego w życiu duchowem człowieka. — Rozebrała się do ostatniej nitki i położyła się obok mnie. Niespodziewajcie się, mili przyjaciele, w dalszym ciągu niczego nieskromnego w mem opowiadaniu. Muszę wciąż zaznaczać, że nie chodzi mi wcale o to, by was zabawiać nieprzyzwoitemi sprawami. — Skoro tylko kołdra okryła powaby jej ciała, dały się słyszeć kroki przed drzwiami; ktoś puka i zaledwie miałem na tyle czasu, by szybkim podciągnięciem kołdry nakryć jej głowę, gdy mąż jej wszedł ociekający potem i sapiący, wskutek zmęczenia, które spowodowało przejście stu dwudziestu schodów — ale z uszczęśliwionem, wesoło podnieconem obliczem.

„Chciałem się zapytać, czy z Röbbem, Schletterem i zemną pojedziesz na wycieczkę. Udajemy się koleją do Ebenhausen, a ztamtąd kołami do Ammerlandu. Wprawdzie chciałem dziś pracować w domu, ale moja żona już wcześniej rano wyszła do Brichmanów, by zobaczyć, jak się ma ich najmłodsze — a wobec pięknej pogody nie było mi jakoś swojsko w domu. W kawiarni Leopolda spotkałem Röbbli i Schlettera, i tam umówiliśmy całą wycieczkę. O 10 godzinie minut 57 odjeżdża pociąg“.

Przez ten czas miałem nieco czasu, by zebrać myśli.

„Widzisz“ — rzekłem uśmiechając się — „że nie jestem sam“.

„Tak. Zauważyłem to“ — odpowiedział ze zrozumiałym uśmiechem. Przytem oczy poczęły mu błyszczeć, a podbródek drgać. Ociągając się postąpił krok naprzód i stanął tuż przy krześle, na którym złożyła swoje ubranie. Na wierzchu leżała na tem krześle wyborna koszula batystowa bez rękawów z monogramem ponsowo na niej wyszytym, i dwie długie, przezroczyste, czarne pończochy z żółtymi literami. Ponieważ niczego innego z istoty kobiecej widać nie było, oczy jego uczepliły się, z wyrazem niedającej się ukryć lubieżności, tych części garderoby.

Była to rozstrzygająca chwila. Lada moment a musiałby sobie przypomnieć, że te części ubrania już widział kiedyś w życiu. Za każdą cenę musiałem uwagę jego odwrócić od zdradliwych przedmiotów i tak nią zawładnąć, by mi już nie zagrażała. Ale osiągnąć to można było tylko za pomocą czegoś niebywałego. Ten bieg myśli, przeleciawszy błyskawicznie przez mój mózg, zmusił mnie do tego, że dopuściłem się czynu tak niezwykłego, że go sobie teraz jeszcze, po latach dwudziestu, przebaczyć nie mogę.

„Nie jestem sam“ — powtórzyłem — „Gdybyś jednak miał pojęcie o wspaniałości tego stworzenia, zazdrościłbyś mi“. — Przytem wyprężyło się moje ramię, które nad jej głową trzymałem, na miejscu gdzie się spodziewałem ust, by w razie niebezpieczeństwa zatkać jej usta, gdyby chciała zdradzać jakie głośne objawy życia.

Oczy jego ślizgały się pożądliwie po liniach falowych utworzonych przez kołdrę.

A teraz przychodzi coś najstraszniejszego, niebywałego. Chwyćłem kołdrę drugą ręką za jej dolny

brzeg i podniosłem ją do góry aż po szyję, tak, że tylko jej głowa była nakryta.

— „Czyś widział kiedy w życiu takie wspaniałości?“ — zapytałem.

Oczy mu znieruchomiały — ale przytem popadł w zmysłowe zakłopotanie.

„Tak, tak — to trzeba przyznać — masz dobry gust — przeto, ja — teraz idę — przebacz mi, że — ci przeszkodziłem“ — Przytem cofał się do drzwi, a ja spuszczałem zasłonę nie spiesząc się wcale. Potem wyskoczyłem żywo na równe nogi i stanąłem obok drzwi przed nim, aby pończoch, na krześle leżących nie zobaczył.

„W każdym razie południowym pociągiem przybędę do Ebenhausen“ — rzekłem, gdy już rękę położył na kłamce. — „Zapewne zaczekacie tam na mnie w oberży obok poczty. Potem pojedziemy razem do Ammerlandu. Będzie to wspaniała tura. Dziękuję ci bardzo za zaprosiny“.

A on wypowiedział jeszcze kilka jowialnych spostrzeżeń i opuścił potem mój pokój. Stałem jak wryty, dopóki kroki jego nie przebrzmiały na dole na korytarzu.

Oszczędzę sobie opisu, strasznego stanu wściekłości i rozpacz, w którym znalazła się pożałowania godna kobieta po tej scenie. Była duchowo rozbitą i dała mi dowody takiej nienawiści i pogardy, jakich nigdy w życiu nie doświadczyłem. Podczas gdy się gwałtownie ubierała, zagroziła, że mi w twarz napluje. Usiłowałem, rzecz zrozumiała, usprawiedliwiać się na wszelkie sposoby.

„Gdzie teraz zamierzasz iść?“

„Nie wiem — do wody — do domu — albo do Brückmannów — by zobaczyć jak się ma ich najmłodsze. — Nie wiem.“ —

— — — — Po południu około drugiej godziny siedzieliśmy razem pod cienistymi kasztanami przed oberżą, obok poczty w Ebenhausen, we czworo i zjadaliśmy pieczone kurczęta i świeżą sałatę. Przyjaciel mój, którego stan duchowy podejrzliwie badałem, uspokoił mnie swym niezwykle dobrym humorem. Rzucił mi żartobliwie domyślne spojrzenia i uśmiechając się zacierał zwycięzko ręce, nie zdradzając się, co go tak wesoło nastroiło. Wycieczka minęła w dalszym ciągu bez żadnych wypadków, i około dziesiątej wieczorem byliśmy znów w mieście. Na dworcu, zaczęliśmy umawiać się do której udać się piwiarni.

„Wybaczcie mi“ — rzekł mój przyjaciel — „że teraz pójdę do siebie i przyprowadzę moją żonę. Przez cały dzień siedziała przy chorem dziecku i wzięłaby nam za złe, gdyby cały wieczór miała sama przepędzić“.

Wkrótce zjawił się z nią w umówionym ogródku. Rzecz jasna, że rozmowa obracała się około odbytej tury, której brak przygód przez wszystkich uczestników zmieniony został w niezwykle, rozmaite zdarzenia. Młoda kobieta była nieco milczącą, nieco zmieszaną i nie zaszczyciła mnie ani jednym spojrzeniem. On przeciwnie nie ukrywał jeszcze bardziej jak, przed obiadem, na swej jowialnej twarzy zagadkowego dla mnie zwycięstwa nad samym sobą. Jego pełne wyższości, tryumfujące wejrzenia zwracały się jednak teraz bardziej ku żonie, aniżeli ku mnie. Zdawało się, jakby doświadczał jakiegoś wewnętrznego, uszczęśliwiającego go zadośćuczynienia.

Dopiero w miesiąc później, gdy znów z młodą kobietą byłem sam na sam, wyjaśniła mi tę zagadkę. Podczas gdy ja jeszcze raz musiałam się bronić przed rozmaitymi srogimi zarzutami, poczem nastąpiło przebaczenie, zwierzyła mi się, że jej mąż, gdy z nim tego wieczora była sama, z założonymi rękoma tak jej wykladał:

„Twego miłego, kochanego chłopaczka, moje dziecko, teraz to już do gruntu poznałem. Każdego dnia papłasz mi, że go kochasz, a nie myślisz o tem jak on z ciebie żartuje. Dziś rano zastałem go w domu; naturalnie że nie był sam. Teraz dopiero rozumiem dlaczego nic sobie z ciebie nie robi, i twoje uczucie odpycha z pogardą. Kochanka jego bowiem jest kobietą o tak uderzającej, szalonej piękności ciała, że ty, z twemi nieco zwiędłymi pomabami ciała, nie możesz z nią wcale iść w zawody.“ — — —

Takim był, mili przyjaciele, skutek środka ochronnego. Opisałem zaś to dlatego, abyście i wy także zaopatrzyli się w ten czarodziejski środek. — —



~~72472~~

78823

Treść:

Miłość na pierwsze spojrzenie	3
Rabbi Ezra	11
Pożar w Egliswyl	21
Stary konkurent	39
Księżna Rusalka	61
Jagnię ofiarne	69
Środek ochronny	85

